

GŁOS

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNO-POLITYCZNY.

W sprawie taryf zbożowych.

Wkrótce po ukazaniu się w druku cennej pracy Adolfa Suligowskiego: „Produkcja rolna i taryfy kolejowe”, *Głos* w n-rze 7 z r.b. poświęcił wstępny artykuł sprawie taryfowej, wyjaśniający dostatecznie stosunek obowiązujących dzisiaj taryf zbożowych do położenia rolnictwa. Nie powtarzając zatem wniosków, zawartych w powyższym artykule, pragniemy go tylko uzupełnić uwagami nad odbytym świeżo zjazdem taryfowym w Petersburgu, zwołanym przez p. ministra finansów w celu zasięgnięcia opinii przedstawicieli rolnictwa, handlu i dróg żelaznych w sprawie taryf zbożowych.

Od roku 1889, tj. od czasu wydania prawa z d. 8 marca, mocą którego ustanowienie opłat przewozowych na wszystkich drogach żelaznych przeszło od tych ostatnich w ręce rządu („dla ochrony interesów ludności, przemysłu i skarbu”), zjazd tegoroczny jest trzecim z kolei. Uczestnikami zjazdów są osoby pośrednio lub bezpośrednio przez p. ministra finansów zapraszane.

Nie należy zapatrywać się na zjazd petersburski jako na instytucję prawodawczą, bowiem moc taką posiadają tylko instytucje urzędowe. Rezolucje zjazdu mogą być w pewnej mierze uwzględnione w urzędowej regulacji taryf, mogą jej nadać pewien kierunek, lecz mogą również nie oddziaływać wcale na prace Komitetu i Rady dla spraw taryfowych.

Pierwszy zbiór taryf, ułożony na podstawie obrad zjazdu r. 1889, obowiązywał cztery lata i odznaczał się chaotycznym układem. Stosując zasadę różniczkowania, czyli zmniejszania zasadniczej stawki przewozowej w miarę zwiększania się przestrzeni transportu, wprowadzono nadto potrójne taryfy: w kierunku wywozowym do portów i zachodniej granicy; w kierunku wewnętrznym dla bezpośredniej komunikacji po różnych drogach i w kierunku wewnętrznym miejscowym na przestrzeni pojedynczej kolei. Te ostatnie taryfy były najdroższe, podczas gdy taryfy komu-

nikacji wewnętrznej były niewiele droższymi od taryf wywozowych.

W sierpniu roku 1893 zbiór dawniejszy zastąpiony został nowym, obowiązującym dzisiaj a znanym pod nazwą zbioru taryf z roku 1893. Zasada różniczkowania występuje w nim silniej, niż w poprzednim układzie, a zamiast potrójnych, pozostawiono tylko dwa rodzaje taryf: dla ruchu wywozowego w kierunku portów i lądowej granicy zachodniej i dla ruchu wewnętrznego. W pierwszym wypadku stawka wynosi: od 1 do 180 wiorst po 25 kop. od wagonu i wiorsty, czyli po $\frac{1}{2}$ kop. od puda i wiorsty, od 181 do 980 wiorst dodaje się po 9 kop. od wagonu i wiorsty, czyli $\frac{1}{68}$ kop. od puda i wiorsty, i ponad 980 wiorst dodaje się po 5 kop. od wagonu i wiorsty, czyli $\frac{1}{222}$ kop. od puda i wiorsty. W ruchu wewnętrznym stawka wynosi tylko 18 kop. od 1 do 320 wiorst; ponad tę przestrzeń dolicza się 9 kop., a ponad 980 wiorst — 5 kop. od wagonu i wiorsty.

Taryfy z r. 1893 ustanowione zostały, tytułem próby, na przeciąg lat trzech, przeto termin ich upływa w roku bieżącym. Lecz już wkrótce po ich ustanowieniu zaczęło się szerzyć niezadowolenie zainteresowanych przewozem zboża, a największe narzekania płynęły ze strony rolników. Na ostatnim zjeździe rolniczym w Moskwie szeroko traktowano sprawę taryfową i wyrażono nadzieję korzystnego jej załatwienia na zjeździe taryfowym, zapowiedzianym na 3 października r. b. Niezwykła liczba zaproszonych na zjazd tegoroczny, dochodząca do 170 osób, podczas kiedy liczba uczestników poprzednich dwóch zjazdów nie wynosiła więcej nad kilkadziesiąt osób, dodawała zebraniom większego, niż zwykle, ożywienia. Najwybitniejszą, rzec można, cechą odbytego zjazdu był współudział 80 przeszło rolników (a właściwiej — przedstawicieli większej własności rolnej), podczas kiedy na zjazd r. 1893 przybyło 9, a r. 1889 zaledwie 5-ciu przedstawicieli rolnictwa. Oprócz rolnictwa, reprezentowane były nadto interesa handlu zbożowego (20 przedstawicieli), a także prywatnych i rządowych dróg żelaznych. Rolników reprezentowali przeważnie marszałkowie szlachty i przewodniczący towarzystw rolniczych. Kierownictwo obrad powierzone zostało przez p. ministra finansów dyrektorowi departa-

mentu dróg żelaznych, p. Maksimowowi.¹⁾ Od dnia 3-go do 15-go października zjazd odbył 13 posiedzeń urzędowych oraz 3 wieczorne dopełniające.

Żadnych ściśle określonych rezolucji zjazd nie powziął. Przedstawiony w końcu przez Zwęginowa, członka rady do spraw taryfowych, ostateczny projekt pożądaných zmian cieszył się zbyt zmiennem poparciem, aby go można uznać za wyraz żądań większości uczestników zjazdu.

Podług tego projektu, obowiązująca dzisiaj taryfa dla komunikacji wewnętrznej ma pozostać bez zmiany, z wyjątkiem dowozów z Kaukazu, do których stosować należy podwyższoną stawkę; dla wywozu zboża do portów i punktów pogranicznych na przestrzeni 180 wiorst pozostawić dotychczasową stawkę: 25 kop. od wagonu i wiorsty, a na dalsze przestrzenie dodawać 5 kop. od wagonu i wiorsty; na przewóz otrąb zniżyć stawkę o 10%; do mąki zastosować dotychczasową taryfę, a więc taryfę przewozu ziarna.

Gdyby projekt ten miał być uwzględniony w urzędowej rewizji dotychczasowych taryf, drogi żelazne straciłyby na nowej zniżce kilkanaście milionów rubli rocznie, a rolnicy zostaliby zagrożeni silniejszą jeszcze konkurencją oddalonych okręgów, której obawa w obradach zjazdu tak wyraźnie kilkakrotnie występowała.

Jeżeli dotychczas za przewóz zboża do portów i stacji pogranicznych za 100 wiorst płaci się od wagonu 25 rs., za 500 wiorst—73 rs. 80 kop., za 1000 wiorst—118 rs., za 1500 wiorst—143 rs., to podług projektu powyższego należy płacić za 100 wiorst—25 rs., za 500 wiorst—56 rs., za 1000 wiorst—86 rs., za 1500 wiorst—111 rs., czyli że systemat różniczkowy zostanie olbrzymio spotęgowany.

Jak coraz silniejsze różniczkowanie opłat przewozowych oddziaływało na zmianę położenia rynków zbożowych, wykazał doskonale p. Suligowski w cytowanym na wstępie dziele. Wszystkie również przemówienia rolników gubernji środkowych i południowych zmierzały ku jednemu: ku wykazaniu niemożności konkurowania z dostarczaniem zbożem z oddalonych gubernji (np. z Kaukazu, nazywanego już dzisiaj „Ameryką Rosji”), gdzie środki produkcji są znakomicie tańsze, a ziemia urodzajniejsza.

Zestawienie, sporządzone na podstawie przeciętnych danych z ostatnich lat trzech, udowodnia, że najgłówniejsze rynki spożywcze wewnątrz państwa znajdują się w gubernjach: Moskiewskiej, Warszawskiej, Włodzimierskiej, Smoleńskiej, Twierskiej, Nowogrodzkiej i Witebskiej. Gubernje te otrzymywały zboże z następujących okręgów. Gub. Moskiewską zasilają przeważnie miejscowości najsłynniejsze, a więc: gub. Tulska, Tambowska, Riazańska, Niżegorodzka, Orłowska, Penzeńska. Zboże, dostarczane do gub. Moskiewskiej, przebywało średnio 471 wiorst, płacąc za tę przestrzeń 11.⁰³ kop. od puda czyli

$\frac{1}{43}$ kop. od puda i wiorsty. Zupełnie ma inny charakter zasilanie zbożem gub. Warszawskiej. W szeregu miejscowości, z których otrzymuje ona potrzebne dla spożycia zboże, przedewszystkiem znajdują się gubernje odległe, np.: Chersońska, Tambowska, Saratowska, Orłowska, Tulska, Kurska, Ekaterynosławska. Dowożone tutaj zboże w ostatnich trzech latach przechodziło średnio 1056 wiorst, płacąc za tę przestrzeń zaledwie 17.⁰¹ kop. od puda czyli $\frac{1}{50}$ kop. od puda i wiorsty (patrz „Wiest. fin.” Nr. 38, Materiały do rewizji taryf zbożowych). P. Suligowski w mowie, wypowiedzianej na zjeździe, nadmieniał, że dzięki powyższemu stosunkowi przybywa rocznie do Królestwa Polskiego 15 mil. pudów zboża rosyjskiego. Zboże to, zamiast oddziaływać paraliżująco na rynki wewnętrzne, winno znaleźć ujście poza granicami państwa i w tym celu należy taryfy komunikacji zewnętrznej obniżyć, a wewnętrzne podwyższyć.

Obniżenie taryfy zewnętrznej winno się wszakże stosować wyłącznie do zboża rzeczywiście eksportowanego zagranicę, a nie dotyczyć bynajmniej ładunków, pozostających w punktach pogranicznych (u nas zarazem przemysłowych a więc spożywczych). Należy przedewszystkiem znieść dotychczasową terminologję, podług której pod nazwą komunikacji zewnętrznej rozumie się nie tylko przewóz zboża wywożonego zagranicę, lecz każdy dowóz do portów lub punktów pogranicznych. Dzięki ustalonemu w ten sposób fałszywemu pojęciu komunikacji zewnętrznej, zboże z Samary dochodzi do Sosnowie podług taryfy dla komunikacji wywozowej i, nie przekraczając granicy, bywa na miejscu sprzedawanem. W wypadku zaś przeładowania rynku pogranicznego, to samo zboże wraca np. do Łodzi, płacąc wciąż tę samą stawkę wywozową dla dalekich przestrzeni, a więc 5 kop. od wagonu i wiorsty, podczas kiedy rolnik tutejszy, przez którego terytorjum przechodzi kolej Wiedeńska, za równy transport po tej samej kolei do samej stacji płacić musi podług taryfy dla ruchu wewnętrznego na przestrzeni od 1—320 wiorst, a więc 18 kop. od wagonu i wiorsty. Takim miejscem tranzytowem, oprócz pogranicznych stacji, jest również Warszawa. Ładunek, zatrzymany tutaj na składzie, może być w ciągu sześciu miesięcy wyprawiony dalej, korzystając z ulg taryfowych dla dalekich przestrzeni, jak gdyby się wcale nie zatrzymywał. Ślusznie też domagali się nasi przedstawiciele śpiesznego uregulowania tej rzucającej się w oczy krzywdy ekonomicznej. Taryfa wywozowa winna być stosowaną wyłącznie do ładunków wychodzących zagranicę. Niektórzy uczestnicy zjazdu sprzeciwiali się powyższemu rozstrzygnięciu sprawy z obawy nadzwyczajnych jakoby trudności strony formalnej. Trudności tych zaiste uznać nie możemy, gdyż wciąż przyglądamy się ustanowianiu najrozmaitszych premji wywozowych (w takiej samej właśnie postaci domagał się p. Suligowski ulgi dla wywozu zagranicznego), które mogą, swoją drogą, celowi nie odpowiadać, lecz nigdy nie są tamowane trud-

¹⁾ Nazwiska zaproszonych przedstawicieli rolników, handlu i dróg żelaznych z królestwa Polskiego, podaliśmy w kronice ekonomicznej w Nr. 42 Głosu.

nością natury formalnej. Jeżeli p. ministrowi skarbu udało się przed niedawnym czasem rozwiązać tak silną kontrolę nad operacjami pieniężnymi, że bodaj każdy pojedynczy rubel, przekraczający granicę państwa, mógł być uwidoczniącym, naiwną jest obawa trudności kontrolowania eksportowanego zboża.

Oprócz powszechnego uznania konieczności dwóch kategorii taryf: przy przewozie wewnątrz państwa oraz przy wywozie zagranicę, a następnie licznych projektów, dotyczących rozmiarów obu stawek, najwięcej z kolei poświęcono czasu sprawie przewozu mąki. Według obowiązującego dzisiaj zbioru taryf mąka podlega tej samej opłacie co ziarno. Dzięki temu, że z puda ziarna otrzymuje się 25% mąki, korzystniej bywa transportować mąkę, aniżeli materiał surowy—ziarno. Wychodząc z tego stanowiska, przedstawiciele z naszego kraju domagali się podwyższenia taryf mącznych w stosunku do ziarna. Wskazywaliśmy już wyżej fakt stałego od lat kilku dowozu mąki rosyjskiej na nasze rynki. Rozchodzi się ona po wszystkich punktach Królestwa i: 1) obniża cenę samego ziarna, 2) hamuje rozwój miejscowego młynarstwa (porów. artykuł, zamieszczony w Nr. 30 *Głosu*: Nasze młynarstwo).

Podobnie, jak przedstawiciele gub. nadbałtyckich popierali naszych przedstawicieli podczas obrad nad przewozem zboża, tak reprezentanci gubernji zachodnich przyłączyli się do żądań ukrócenia konkurencji, wytwarzanej przez młyny okręgów centralnych i południowych. Po długich dysputach, przerywanych objawami naiwności parlamentarnej w rodzaju przemówienia p. Stachowicza¹⁾, reprezentującego ziemian gub. Or-

łowskiej, przewodniczący zebraniu poprosił o głosowanie, po którym okazało się, że 34 członków życzy sobie utrzymania dotychczasowej taryfy mącznej (= ziarnu), 33 wypowiedziało się za zwiększeniem stawki, a 20 za zwiększeniem warunkowem, dotyczącem mąki pszennej i pyłowanej.

Zewnętrzna cecha zakończonego zjazdu, jak nadmieniał wyżej, stanowił współdział najliczniejszy przedstawicieli większej własności rolnej. Ten liczbowy stosunek uczestników zjazdu musiał, rozumie się, spowodować to, że potrzeby tej warstwy górowały we wszystkich obradach. „Rolnictwo upada!” — oto hasło, tłumaczące dostatecznie wyznawców jego i żarliwość, z jaką szukają deski ratunku. Dzisiaj jest nią rewizja taryf zbożowych, wczoraj jeszcze była polityka celna, a jutro być może reforma monetarna. Powtarza się to wszędzie. Agrariusze niemieccy zaciekleść samoobrony posunęli aż do wypowiedzenia wojny gęsiom polskim, fermerzy amerykańscy — całemu światu, a zewsząd, gdzie tylko pług ziemię orze, dochodzą okrzyki potępienia handlu, ośmielającego się „robić” ceny niskie. Jak wszystkie walki namiętne, tak i tę, osłania mgła niewyjaśnionych dostatecznie przyczyn. Czy oddziaływała ona i w jakim stopniu na położenie właściwych rolników, których przedstawiciele na zjazdach nie widzimy? Czy reprezentanci większej własności rolnej potrafią znieść brzemień przedstawicielstwa potrzeb całego rolnictwa? Czy zdolają, mimo nieudzielanego im zresztą mandatu, być godnymi rzecznikami całego stanu rolniczego? Z rezultatów zjazdu obecnego rychłego

¹⁾ P. Stachowicz, wysłuchawszy licznych wywodów za i przeciw, zabrał głos, aby oznajmić, że się nie zna na spr-

wach taryfowych, a więc proponuje rozstrzygnięcie ich powierzyć p. ministrowi finansów. „W jakim więc celu przyjeżdżał p. Stachowicz?” — słusznie zapytuje sprawozdawca „Niedzieli.”

≡ ZZA KULIS ŻYCIA ≡

SYLWETKA¹⁾.

Czuła się nieszczęśliwą, bo nie była w stanie wydać własnym kosztem pierwszej swojej książki. Na podstawie utworów, rozrzuconych po czasopiśmie, źle płatnych, wyłudanych, przyznawano jej talent rzeczywisty; wyjawiać jednak tej prawdy głośno, poświadczyć swem nazwiskiem na tomiku jej utworów obawiał się każdy wydawca. „Autorka tak młoda;

może to kwiat niezdolny przeżyć jutra: po co więc podtrzymywać go tak skwapliwie?” — rozumowano ostrożnie.

Ona jednak z zaciętością drażnionej woli postanowiła bądź co bądź szukać sposobu; gdy nie znając stosunków zależności od mężczyzn, którzy z prostego aktu podania ręki królewską łaskę czynić umieją, stanęła przed wskazanym jej właścicielem drukarni, przystępnym dla początkujących sił literackich, — miała w oczach pełno blasków odważnej pionierki.

Drukarz z uwagą taksatora wdzięków spojrział na dziewczynę... Wpierw, niż kształty szczupłe, niż postać drobna, uderzyło oczy mężczyzny coś, co biło z rysów twarzy zapowiedzią siły, niespożytego ognia życia. Mężczyzna dał w myśli sile tej miano, które sprzyjać mogło jego ukrytym przed dziewczyną pragnieniom... Tymczasem mówi jej, że za bezcen książkę wydrukuje, niech tylko zechce przyjść do niego powtórnie, gdyż w tej chwili, jak wskazuje jego ubiór galowy, musi jechać

¹⁾ Autorkę tego utworu pochowano w zeszłą sobotę na cmentarzu Powązkowskim. Żyła dwadzieścia kilka lat. Została parę tomików nowel, dając w nich, obok dowodów talentu, świadectwo niezupełnego wyrobienia literackiego i pewnej jednostronności w poglądach na stosunki ludzkie, zwłaszcza na wzajemny stosunek obu płci. Utwory jej, pisane oryginalnie i z dużym temperamentem, najczęściej pesymistyczne, posiadają barwę rzeczy szczerze odczuty. W tomie ich wartość. Bardziej szczegółową charakterystykę zastąpi utwór niniejszy, jeden z ostatnich w jej życiu. Red.

rozwiązania pytań powyższych przewidywać jeszcze nie można. Bez względu jednakże na skutki zjazdów podobnych, należy się z nich cieszyć, gdyż dają możność bezpośredniego zapoznawania się z potrzebami odpowiednich warstw społecznych.

STANISŁAW KARPIŃSKI.

Wyprawa Nansena do bieguna północnego.

(Dokończenie).

Poraz ostatni Nansen przybił do lądu w Charbarowie, naprost wyspy Wajgacz, gdzie zaopatrzył się w 30 psów eskimoskich do sanek. 3-go sierpnia 1893 r. przepłynął cieśninę Jugorską — i odtąd przez trzy lata nie było o nim żadnej wieści.

Już na morzu Karyjskiem „Fram” napotkał liczne kry lodowe, których ilość rosła coraz bardziej, a około przylądka Czeluski na stała się prawdziwie niepokojącą. Lękając się, żeby lody nie uwięziły zbyt wczesnie okrętu, Nansen nie zajeżdżał już do ujścia rzeki Oleńka, gdzie przygotowana była dla niego druga partja psów, lecz płynął prosto ku Nowej Syberji. Pragnął on dotrzeć na wschodni brzeg tego archipelagu, tam gdzie zatonała Jeannetta, — tymczasem 22 września lody otoczyły zewsząd okręt i uwięziły go jeszcze na zachód od N. Syberji, pod 78°50' sz. pn. Kto wie, czy ta drobna na pozór okoliczność nie stała się głównym powodem niezupełnego powodzenia tak świetnie obmyślanej wyprawy.

Odtąd, zgodnie z przewidywaniem Nansena, zaczęło się powolne posuwanie się okrętu wraz

z lodami w kierunku północno-zachodnim, a więc ku biegunowi. Podczas zimy ruch lodów, widocznie pod wpływem silnych wiatrów dobiegunowych, był szybszym; podczas lata ustawał prawie zupełnie.

Załoga czuła się wyśmienicie. Latem zaledwie był czas na codzienne wykończenie wszystkich robót: badania i spostrzeżenia naukowe, dalsze wybieczki, polowania, stanowiły zajęcie i rozrywkę tej dzielnej garstki. Podczas kilkomiesięcznej nocy zimowej trzymano się bliżej okrętu, zastępując sobie poczęści brak słońca światłem elektrycznym.

Po upływie roku (18 czerwca 1894) „Fram” znajdował się na szerokości 81°52'. tj. posunął się o trzy stopnie w stronę bieguna. Tutaj jednak lody nagle zmieniły kierunek, cofając się na południe. Ten stan niepokojący trwał do września; odtąd „Fram” znów zaczął posuwać się na północny zachód i 26 grudnia przekroczył ostatnią dotąd poznaną granicę, mianowicie 83°24', osiągniętą przed kilkadziesiąt laty przez Longwood'a. Fakt ten załoga „Frama” powitała salwą ze strzelb i pełnemi zapału okrzykami.

Tymczasem grubość lodów rosła coraz bardziej, dochodząc do 30-u stóp, ciśnienie ich na boki okrętu stawało się coraz groźniejszym. 5-go stycznia 1895 r. Nansen, przewidując możliwość zdruzgotania okrętu, kazał przynieść z niego wszystkie sprzęty, narzędzia i zapasy żywności... Łada chwila oczekiwano katastrofy. Rzeczywiście parcie lodów dosięgło najwyższego stopnia; lecz w tej chwili „Fram”, naciskany gwałtownie z obu stron, wysliznął się zręcznie z pośród krępujących go mas lodowych, uniósł się w górę i osiadł na nowo — niewzruszony, zdrowy tak, że żadna deska w nim nie pękła. Było to wielkie zwycięstwo Nansena, który, w przewidywaniu podobnego wypadku, sam obmyślił specjalny klinowaty kształt

na miasto w ważnej sprawie. Kareta właśnie czeka; z przyjemnością gotów odwieść literatkę do domu.

— Ach! kareta na poddasze. Zbyt rażący kontrast! — żegna go zaproszona z wesołością i swobodą młodości, upajającej się promykiem nadziei.

Przy powtórkiem jednak spotkaniu następuje coś — nad program. Z czemże zwraca się do niej ta siwa, zorana wiekiem głowa, czem drży ten korpus olbrzymi, noszący ślady niepospolitej niegdyś urody, pochylający się teraz zlekka, a przeszywany jakgdyby prądem galwanicznym? Drobnostki żąda; on, który przecież da poznać światu nową autorkę, żąda tylko jednego uśmiechu jej rozkwitającej kobiecości... jednej chwili biernego spokoju, posłuszeństwa... Nie upomni się potem nigdy o zwrot kosztów wydawnictwa, bo zresztą skądżeby ona wzięła pieniędzy w razie niepowodzenia książki. Niechże się ona zastanowi, ile dla niej poświęca. W najgorszym nawet

wypadku straty materialnej, jeszcze, przez sam fakt wydania książki, ona będzie stanowiła stronę wygrywającą. Czekać jednak na wdzięczność z jej strony on nie może: dla niego nie ma już w zapasie pożądań długiego jutra; życie pozwala mu zaledwie cieszyć się chwilą.

Dotyka ją nagle chłód grobu, wiejący od starca... Pod zszarzanym płaszczykiem fałuje pierś, na której związał się wąż wstrętnej pokusy...

— Pani — szeptał były lew salonów i orgi — wahasz się, podczas gdy niejedna z sióstr płci twojej poświęca się... w imię blasku kolczyków brylantowych, w imię satysfakcji posiadania powozu na gumowych kołach, — co mówię! — często piany szampa, spływające przy kolacji w oddzielnym gabinecie... zatapiają skalę hardości niewieściej... Czyż sława nie znaczy więcej nad klejnoty, nad miękkość kół gumowych, nad słodycz renomowanej marki wina szampańskiego?

kadłuba „Frama”. Odtąd stało się jasnym, że przed gienjuszem człowieka znika jeszcze jedna potężna zapora — nacisk lodów, który tyle poprzednich wypraw pozbawił okrętów.

14-go marca 1895 r. „Fram” znalazł się na wysokości 83°59', ale zarazem widocznym było, że, posuwając się dalej z lodami, w żaden sposób nie dotrze do bieguna.

Wtedy przychodzi Nansenowi do głowy myśl, godna duchowego olbrzyma przyszłych sag ludzkości: oddaje dowództwo nad „Framem” Sverdrup'owi, z rozkazem starania się o powrót do kraju, żegna się z załogą — a sam, w towarzystwie jednego tylko porucznika Johansena, zabrawszy troje sanek, zaprzężonych w 28 psów, strzelby, przyrządy, żywności na 3 miesiące i dwa lekkie kajaki — wyrusza prosto ku biegunowi...

Była to najszczytniejsza chwila w życiu Nansena. Drugą taką mieć będzie chyba, gdy los szczęśliwy pozwoli mu zatknąć sztandar ojczysty na lodach bieguna.

Jest coś nadludzko wielkiego w wyprawie tych dwóch ludzi, dążących naprzód pośród ciszy i pustki odwiecznych lodów, w krainie martwoty i śmiereci bez żadnej nadziei, że za powrotem znajdą oddalający się z lodami okręt.

Po niesłychanych trudach i niebezpieczeństwach, okupując każdy krok niezmiernym wysiłkiem, 7-go kwietnia t. r. znaleźli się oni pod 86°14' szerok. pn. Już tylko 3³/₄ stopnia, czyli około 420 kilometrów oddzielały ich od bieguna...

Tutaj jednak dalsze posuwanie się naprzód stało się bezwzględnie niemożliwym. Niepodobna było zrobić kroku pośród tego chaosu spiętrzonych gór lodowych, poprzegradzanych głębokimi przepaściami, rozbijających się z głuchym traskiem przy spotkaniu. Próżno Nansen na swoich łyżwach robił wycieczki w okolice, starając się

znaleźć jakiegobądź przejście: wszędzie ten sam obraz — dziki, groźny swoją niewzruszoną wielkością. Przytem obliczenia pokazały, że cała ta masa ulega również powolnemu ruchowi na południe. Żelazna wola i wytrwałość człowieka okazały się jeszcze raz zbyt słabymi w porównaniu z bezduszną potęgą materji: 8-go kwietnia postanowiono odwrót...

„Frama” oczywiście nie napotkano, lecz w początku sierpnia wędrowcy dotarli poraz pierwszy do jakiegś ziemi. Był to, jak się okazało potem, północno-wschodni brzeg archipelagu Franciszka-Józefa.

Położenie stawało się coraz groźniejszym, środki wyczerpały się zupełnie. Z psów zostały tylko dwa; reszta zdechła lub słabsze zabito na pokarm dla silniejszych. Mięso upolowanych fok i niedźwiedzi stanowiło jedyne pożywienie.

Doczekawszy się puszczenia lodów, Nansen i jego towarzysz popłynęli na kajakach ku zachodowi, sądząc, że osiągną wyspę Spitzbergen. Tymczasem z powodu lodów musieli znowu cofnąć się wgląd' lądu, ciągnąc za sobą swoje łódki. Szli tak do 26 sierpnia. Lecz tutaj, lekając się zaskoczenia w drodze przez trzymiesięczną noc podbiegunową, postanowili przeczimować. Zbudowali chatę z kamieni i mchu, wyłożyli ją całą skórą niedźwiedzi. ...„Zima przeszła dobrze — pisze Nansen krótko w swoim sprawozdaniu. — Zdrowie służyło nam obydwojg wybornie. Żywił się mięsem fok i niedźwiedzi, ogrzewając się płomieniem z ich tłuszczu. Nadeszła wiosna. Powróciło słońce. Na zachodzie i południo-zachodzie ukazało się morze wolne od lodu.”

Korzystając z tego, puścili się znowu w kajakach na zachód, postanowiwszy dotrzeć wodą do Spitzbergu.

— Sofizmaty! — wydierało się z zaciśniętego goryczą gardła autorki. — Nie jestem z tamtych, dających rozkosz w miarę zapłaty! Literatura — to kapłaństwo, do którego nie przystępuje się z dłońmi zbrukanymi błotem niegodnego, występnego handlu!

Sardoniczny uśmiech drukarza odpowiadał: „Z jakiej części świata przybywa ta dzika dziewczyna biorąca rzeczy tak poważnie, niedorosła do pojęcia miłości platnej.”

— Ptaszku mój — syczał starzec, łaszcząc się, przeginając postać podobną do wspaniałej ruiny, — ptaszku śnieżnopióry, czyż ja wymagam ofiary lat całych, albo miesięcy, czy komedji jakiegokolwiek zachwyty z twej strony?..

Ona, biedny listek rzucony w toń burzliwą, czuje się bez ratunku wobec tego człowieka, urągającego szyderczo sztuce, pragnącej się obchodzić bez protektora; czuje się jak-gdyby szarpana przez te palce krogulczo zgięte, dzwoniące pieniędzmi.

Ileż więc wart uścisk dwojga ludzi, wżajemnie się pragnących! Życie przetwarza te uściski w narzędzie targu. Warunki dziewczynę popychają na tę drogę, lecz wstręt ją dławi i bezwiednie zwraca się ku drzwom, do których odprowadza ją ironiczny głos mężczyzny: „Idź ty, ty odurzająco młode dziecko, idź na poszukiwanie wspaniałomyślnego, któryby cię podparł przez szacunek dla twego talentu. Ja ci wrócić pozwalam, jestem na usługi.”

I poszła. Na ulicach snuł się zmrok jesienno-wieczoru. W haosie ruchu, jak w kalejdoskopie, mknęły masami różnolite obrazy doli ludzkich, ścierały się sfery, światy, szczęście i nieszczęście. W potokach gazowego światła twarze jaśniały jak karty, z których niejedne były łatwe do odczytania. Niejedna z nich oblokła się wyrazem ciekawości przy zetknięciu się z oczami dziewczyny, pociągającą magnetycznie posępny ogień wyrażonej rozpacz. Oczy te dążyły uparcie za

Tymczasem rankiem 18 czerwca 1896 roku, w chwili gdy gotowali sobie śniadanie na brzegu, gdzie spędzili noc pod przykryciem odwróconych do góry dnem kajaków, nagle Nansen usłyszał szczekanie psa.

— Pies?! a więc tu jest ktoś z ludzi!—zawołał.

I zostawiwszy przy garnku Johansena, pobiegł w stronę szczeknięcia.

Podczas jego nieobecności Johansen ujrzał zbliżającego się człowieka ze strzelbą na ramieniu, w towarzystwie wyżła... Podziw był obustronny! Nieznajomy przedstawił się: był to Child, z wyprawy angielskiej Jacksona, która robiła poszukiwania na wyspach Franc. Józefa... Gdy Johansen powiedział kim jest, Anglik pobiegł pędem strzaly i za chwilę powrócił z towarzyszem, p. Armitage'm. Obydwaj uścisnęli rękę Johansena, a potem, zdjawszy czapki, wykrzyknęli: — „Niech żyje Norwegja!”

Na to powrócił Nansen, powitany nowym, trzykrotnym okrzykiem.

Było to 18 czerwca b. r., równo w trzy lata po wyjeździe Framu z Chrystjanji.

Dalsze losy Nansena i jego towarzysza są znane. Po miesięcznym pobycie z Jacksonem na wyspie Fr. Józefa, na okręcie tegoż dopłynęli oni do portu norweskiego Vardö, witani radosnemi okrzykami ludu. W tydzień potem, 20 sierpnia, do portu Skioervoe zawinął, po rocznej tułaczce, „Fram”, dowiadując się tutaj dopiero o szczęśliwym powrocie swego ubóstwianego kapitana.

Nie mamy jeszcze pod ręką obszernego sprawozdania Nansena o jego wyprawie; w każdym razie jednak z dotychczasowych wyjaśnień można już sobie wyrobić niejaki pojęcie o jej naukowym znaczeniu. Przedewszystkiem zdaje się ona po części obalać dotychczasową teorię prądu mor-

skiego, przechodzącego przez biegun: zdaje się raczej, że główną rolę w niewątpliwem przepływanu lodów przez biegun grają wiatry, wiejące zimą ku biegunowi, a latem odwrotnie.

W tych miejscach, któredy płynął Nansen, prądy morskie, o ile istnieją, są nieprawidłowe; być może, iż po drugiej stronie Nowej Syberji, dokąd „Fram” nie mógł dotrzeć z powodu lodów, prąd morski do bieguna jest bardziej określonym.

Dalej, wyprawa Nansena dowiodła, że ziemia Franc. Józefa nie ciągnie się, jak przypuszczano dawniej, jako obszerny ląd ku biegunowi, lecz jest archipelagiem wysp. Wogóle od N. Syberji aż do Franz-Josephslandu Nansen nie napotkał żadnego śladu lądu.

Temperatura tych okolic okazała się bardzo niską, tak że rtęć całemi miesiącami była zamrożoną (niżej 40° Cels.); jednak najniższą—52°6' poniżej zera zanotowano zaraz na początku wyprawy około N. Syberji, gdzie więc znajdowała się tz. biegun zimna. Temperatura wody zmieniała się na pewnej głębokości, dochodząc miejscami do 1/2° powyżej zera.

Głębokość oc. Lodowatego poza 79° powiększała się gwałtownie, dosięgając od 180 metr. początkowo do 3,800 metrów.

Życie w powietrzu i w wodach, zarówno na lodzie jak i pod lodami stawało się coraz rzadszem, aż poza pewną granicą nie spotykano nigdzie żadnej żywej istoty. Prócz tego, dla przyszłej walki z przyrodą podbiegunową, wyprawa Nansena zdobyła dwa niezbite pewniki: że człowiek może tam żyć zdrowo, przez całe bowiem 3 lata nikt z załogi nawet nie zachorował; a po wtóre, że odpowiednio zbudowany okręt wychodzi zwycięsko z uścisku lodów.

Wyprawa Nansena była więc pod każdym względem olbrzymim krokiem naprzód, nie tylko

postaciami kobiet, pozwalających się domyślać sfery, w której „poświęcają się” w handlu za cenę dających zapomnienie upojen haszyszowych... Daremnie w twarzach wyznawczyń tego kultu biedna dziewczyna szukała śladu jakiejkolwiek oznaki niepokoju, wyrazu piętnującego choć trochę to, czego ona doznawała w tej chwili. Wszystkie te ptaki, zwiedzające kosztowne klatki, miały pozór zadowolenia, spokoju, prawie błogości. Niektóre z nich oglądały się leniwie za nową zdobyczą...

I choć odepchnęła frymarzącego starca, wróciła do niego po kilku dniach. Z czołem, ranionem kolcami upokorzeń, lękając lzy, przysła tak, jak niektórzy szli na stos, lub pod miecz kata: z rezygnacją istoty nawpół przytomnej...

* *

Po wydaniu książki dosięgły autorkę pierwsze listki sławy. Odkryto w młodej literatce

duszę gorącą obok zdolności do analizy bystrej a zimnej, bogaty źródło natchnienia wyściskającego piętno na tem wszystkim, co umiało pociągnąć ku sobie tę wrażliwość subtelną, polot wyobraźni, dar słowa. Odkryto wszystko, co składać się może na talent, dający już w tej chwili nadspodziewanie wiele, a obiecujący nadal, w miarę pracy, nieodczownych studjów i warunków.

To wszystko jednak nie przeszkodziło, że w rok później, autorka nie mogła znów znaleźć nabywcy na nowy rękopis. Wielkie firmy dawały przystęp do siebie za cenę wyzysku, tym większego, im bogatsze były.

„Taka początkująca—mówiono między sobą—odda za byle co.” Nikt też nie myślał o tem, że ta początkująca zamęcza się, zmuszona warunkami rodzinnymi, pracować nadmiernie i całkiem niezgodnie z jej zamiłowaniem do pióra, z pragnieniem literackiego wykształcenia. Teraz jednak nie poszła już szukać rady ani pomocy poza księgarniami

w przestrzeni dotąd niezbadanej — w posunięciu się do 86°15', ale i w samej metodzie walki. Ktokolwiek podejmie ją na nowo, będzie miał zawsze przed sobą bohaterską, z granitu wykutą, ogniem idei płonącą postać Nansena, dążącego samowtór w mroczną dal pod sztandarem „Naprzód”!

K. BYSTRZYCKI.

NA PRZEBÓJE

Władysław St. Reymont. *Komedjantka*. Powieść.

Autor przytoczonego utworu, po kilku sześciu debiutach nowelistycznych, wstąpił na drogę szerszej działalności twórczej. Ponieważ w *Głosie* poniekąd otwarły mu się do niej wrota, w tem bowiem piśmie próbował poraz pierwszy sił swoich; — dziś więc, gdy już nie przed szczupłym gronem czytelników, lecz wobec całego czytającego ogółu składa swego talentu dowody, obchodzić to nas musi żywiej, niż kogo innego...

I.

Różne bywają kategorie ludzi, potykających się z tą potwornie nieraz wielką, mistyczną niemal istotą, zwaną życiem. Jedni biorą, radzi nieradzi, to, co ona im dać raczy, i poprzestają na nędznych okrucinach, nie wyciągając ręki po nic lepszego, chociaż wiedzą, że sporo skarbów kryje ona w swem łonie. Są inni, którzy gardzą powszednią strawą życia, tem, co mają pod ręką, i do skarbów owych właśnie dobrać się pragną. Jedni zdobywają je drogami krętymi, zapomocą fortelów, sprytem,

wydawniczemi. Bo i po co? Ludzie, którzy mówili wiele o cieple swych serc, o udzielaniu go tym warstwom, gdzie w duszach jest smutno, chłodno i ciemno, ludzie, bujający w sferze podniosłych idei, szerokich pragnień, — własnoręcznie i niejednokrotnie obłożyli lodem jej piersi.

Świat zajął się z zamięłowaniem nowości tem piórem kobiecym, zupełnie oryginalnem, nieco smutnem, przypominającym oczy uśmiechnięte zpoza łez, blaski słońca zza chmur ciemnych i ciężkich. Świat się zajął, lecz sarkał na śmiałość autorki zdzierającej z życia osłony, które dla ludzi stanowią wygodną maskę lub klosz ochronny, i rychło zapominał o niej.

Jednego dnia stanęło przed nią groźne widmo nędzy. Wypadło to w chwili, gdy na ustach, purpurą młodej krwi nabiegłych, zrywa się pragnienie o jedną bodajby kroplę słodczy z puharu życia. Przyszło to tak, jak zjawisko senne, niepokojące ciemnię nocy. Ohyda niedostatku ssącego, jak wampir, zsy-

wszelką bronią słowem, byle nie taką, która mogłaby ich na sztych wystawić, drudzy — rzucą ją się nieraz na oślep, jak żołnierz idący do szturm, podniecany więcej nadzieją zwycięstwa i sławy, niż lęku. Tych łatwo pocisk ugodzić może śmiertelnie, bo oni zasadzek wroga nie przewidują i lubią walczyć w świetle dziennem, zdobywać pragną w oczach wszystkich, żeby siłą i męstwem własnem sprawić sobie uciechę i światu niemi zaimponować. Egoizm leży w naturze jednych i drugich, walczą bowiem głównie z myślą o sobie; egoizm jednak ostatnich ma dużo cech sympatycznych i szlachetnych, choćby dla tego, że nie tkwi w nim zimne wyrachowanie i oszczędzanie siebie, jeno zapal, gotowość do ofiar i nieopatrzna rozrzutność sił...

Do nich należy bohaterka *Komedjantki* — dwudziestodwuletnia, urodziwa panna Janina Orłowska, żyjąca wraz z ojcem swoim, starym manjakiem, w odludnej okolicy na stacji kolei Dąbrowieckiej. Janka — tak ją autor nazywa — od dziecka zdradzała niepohamowany, samowolny temperament. Jako dorosła panna, żyje w nudzie i zniecierpliwieniu, pożądając wrażeń silnych i niezwykłych, nie wiedząc ku czemu skierować ducha swego, jaką ideą zabarwić życie. Nudzące się na wsi panny, narzekające na jej barbarwość i nieruchomość, bardzo dobrze nieraz wiedzą, czego im potrzeba. Jedne spełnienia marzeń oczekują od stanu małżeńskiego, inne pragną wiedzy i „wybierają” się na uniwersytet; są takie, które pożądają szerszej działalności społecznej, myślą o pracy zawodowej; nie brak i takich konsekwentnych i harmonijnych istot, które wszystkie powyższe „dążenia” potrafią skojarzyć i... urzeczywistnić. Janka w niczem podobnem ucieczki nie szuka, nawet uprzedmiotowić swoich pragnień nie jest w stanie, lecz tylko

łała niejako pragnieniem tem ostrzeżenie, radę ucieczki przed rozpaczą, która wybuchem swoim znosi, gruchocze wszystko, coby jeszcze przyszłość dać mogła w udziale. W dziewczynie, męczzonej długo bezowocną walką o polepszenie bytu, zakolał instynkt obrony, zmorzenia tej hydry za jaką bądź cenę. Młode życie zagrało chórem strun blizkich zerwania, ostatniem wołaniem o oddźwięk jakiś, o siłę, któraby ogarnęła łagodnie, kojącą cały proces tworzenia, zmuszonego szarpać się w bezustannej trosce o jutro.

Do takiego doszedłszy stanu, zapytała siebie po raz pierwszy, czy wrażenie doznane przez nią rok temu przy znajomości ze starym drukarzem, słusznie zwróciło się przeciw niemu odrazą, oburzeniem? Czemże on bowiem zawinił względem niej? Żądzą zmysłową; lecz czy żądze, pragnienia dają się obejmować łańcuchem takiej kontroli, któraby posiadała moc unicestwienia ich? Istnieją wprawdzie różnice pragnień, rozliczne ich gatunki, lecz

silnie pożąda jakiegoś życia niezwykłego, któreby ją całą ogarnęło i wstrząsnęło umysłem i duszą.

Skąd tu w głuchym zakątku wrażenia niepowседневne i rzeczy niezwykłe? Zniecierpliwienie Janki przechodzi w szal, w żądzę czynienia podbojów. Czuje w sobie siłę zdolną do wielkich nateżeń, namiętności, pragnące wybuchnąć i ścierać się żywiołowo. Bujną indywidualność łączy Janka ze sporą domieszką teatralności, radaby więc widzieć siebie w oświeceniu niezwykłym, roztaczać dokoła urok, być podziwianą i podziwiać siebie. Gdy na przesadne porywy podobnych istot patrzają ludzie z boku, wydaje się im nieraz, że jest w tem więcej sztucznej afektacji i komedjantstwa, niż szczerości. Istotom takim lada przypadek może podsunąć cel życia i przedmiot zabiegów, na który rzucą się całym pędem ducha, — lecz także lada przywidzenie rozkołysanej wyobraźni, może być wziętem przez nie za powołanie ich życia.

Przypadek stawia i przed Janką upragniony cel bytu i podsuwa powołanie. Występ w teatrze amatorskim, zakończony powodzeniem, oświeśla Jance drogę, której tak długo szukała, obejmuje ją dreszczem sławy. Przeczytanie dzieł Szekspira dokonywa reszty: powiada sobie, że musi zostać aktorką, że sztuka jest dla niej tem dobrem pożądanem, którego napróżno wyczekiwała. Ojciec Janki innego jest zdania; podług niego, niema dla niej większego szczęścia nad wyjście za mąż. Szorstki i brutalny, lubiący łamać wolę córki, przyrzekł jej rękę młodemu Grzesikiewiczowi, synowi wzbogaconego chłopca. Janka, wzburzona postanowieniem ojca, na jego upór odpowiada zaciętością. Grzesikiewiczowi daje stanowczą odpowiedź, ojeu zaś, pomimo błagań i gróźb, zapowiada wręcz, że za mąż nie pójdzie.

cóż kto winien, gdy właśnie taki, a nie inny gatunek obrał sobie w nim miejsce i stworzony, istniejący raz, toczyć się musi w całym biegu, jaki mu wyznaczają siły, w skład jego wchodzące. Ona sama wiedziała, czuła dziś więcej, niż przed rokiem, czem jest ogień pragnienia, które zostało już spojęne z osnową życia. Dlatego dziś przebaczała w myśli temu człowiekowi, który zostawił jej, prócz ciężkiego wspomnienia chwili z nim przeżytej, to, do czego tak wielką wagę przywiązywała w życiu: możliwość postąpienia na obranej drodze. Wyzyskał jej położenie? Ależ inni byliby uczynili to samo, do tego z warunkiem podziału uczuć i niewolnictwa na czas nieograniczony, aż do chwili przejścia ich kaprysu. Dziś — za tamtym człowiekiem, który od niedawna legł w mogile, za nim odsuniętym z milczącą dumą, — ogarniał ją żal, jak za kimś, kto nie był dla niej jeszcze tak złym, tak brutalnym, tak okrutnym, jak byli inni.

Wraz z żalem wstępowała w nią żądza

Stary Orłowski, doprowadzony oporem córki do ostateczności, wypędza Jankę z domu. Na ojcowskie: „precz” — córka odpowiada: „pójdę”, nie wiedząc właściwie, dokąd ma się teraz zwrócić.

Poszła... znękana wprawdzie i pełna żalu, z lękiem o dolę przyszłą, ale też i z myślą pokrzepiającą o tem, ku czemu rwała się jej dusza. Poszła w świat szukać upragnionego życia. Znalazła je w Warszawie, na scenie teatryku ogródkowego.

Doskonale, mojem zdaniem, przedstawił autor pierwsze zetknięcie się Janki z teatrem.

Pierwsze wrażenia Janki i pierwsze upojenia atmosferą teatralną odtworzył autor z prawdziwym zrozumieniem psychologii tego rodzaju natur, jak Janka. Żyje tu ona podwójnem życiem: rzeczywistym i urojonem; pierwsze oparte jest na odruchach, drugie — wynika z jej woli, z jej pragnień i omamień prawie świadomych. Odruchowo reaguje na brudy życia teatralnego, oburza się na widok cynizmu i bezczelności, któremi jest otoczona. Ale zarazem wszystko, co ją tu razi i wstrętem przejmuję, przykrywa tem idealnem wyobrażeniem o teatrze, jakie w umyśle jej od dawna się wytworzyło. „Miała go w duszy pełnym światła, barw silnych, uczuć wrzących”; — „nie było tutaj tego wszystkiego, ale jej wyobraźnia entuzjastyczna tknęła z tych strzępów widzianych światy stokroć piękniejsze i olśniewała się pięknem własnego dzieła”... „Teatr zaczął wybierać dla niej coraz więcej kontury halucynacji na jawie”... „Gdy się akt skończył i zagrzmiała ulewa braw, ondlewała prawie.” Rzucił na nią teatr urok, uwiódł i stępił poczucie rzeczywistości. To pierwsze zwycięstwo tej siły, z jaką wypadło jej w życiu się zetrzeć.

Zapatrzenie się „w piękno własnego dzieła” ułatwia Jance przystosowywanie się do otoczenia,

doznania czegoś, coby nie było samą przykrością. O! na ziemi chodzi przecież jakieś szczęście, jakaś rozkosz, istnieją objęcia losu słodsze od tych, w jakich ona spoczywa. Wie o tem i z wolna podnosi się w niej bunt. Jestże ona ze spiżu wykutą, czyż otrzymała monopol na powłokę tak hartowną, że aż nieczuła, na umysł poddający się biernie wpływom przeciwnym jego rozwojowi, jego nieodzownym warunkom. Potrzebuje pieniędzy, marnych pieniędzy, tej drobnostki podniesionej do potęgi. Potrzebuje pieniędzy... W dwóch tych słowach zawarta jest cała tragedia, rozgrywająca się w tysiącnych odmianach na całym świecie...

I znów w jeden dżdżysty, jesienny, chłodny wieczór, źle ubrana, z mizerną twarzą, z oczyma palającemi wewnętrzną gorączką, znalazła się na ulicy, z niewyraźnem postanowieniem zakończenia całej biedy... W oddalonej, pustej, ciemnej alei Saskiego ogrodu nieprzytomnie prawie rzuciła się na ławkę, przepełnioną

którego ohydne strony nie uchodzą jej uwagi. Janka toleruje pełne intrygi i podłostek życie kolegów i koleżanek, obojętnie i coraz mniej sił moralnych zużywa na walkę z tem wszystkim, żeśrodkowała je bowiem wyłącznie na tej świetnej jego stronie, od której wyczekuje dla siebie największego „dobra:” zaspokojenia ambicji i rojeń o sławie. Do marzeń tych przyłączyły się inne jeszcze, o niecenieniu zamiłowania do sztuki wyższej, bezinteresownej, szczerzej, o kapłaństwie idei, a wszystko to w postaci najczystszej przyciaga jej entuzjastyczna natura z otaczającej atmosfery, jak magnes skupiający na biegunach pył żelazny. Słowem idealizacja środowiska wciąż postępuje w niej; ono tymczasem, jak rdza, trawi jej siły moralne i zmniejsza energję oporu. A ta siła niszcząca, pod której czarem się znajduje, ten teatr, który zdobyć się uparła, jak wróg, gotował jej oddawna cios śmiertelny, podczas gdy ona, zapatrzona w idealny jego obraz, wytwór własnej fantazji, ani przewidywała jego podstępów, ani chciała o nich myśleć. A ileż poniżeń doznała, czego nie robiła, by zbliżyć się do chwili, w której dostąpi nareszcie upragnionego dobra! Znosiła głód i wstyd, przytyki, posądzenia niecne i pastwienie się koleżanek, wyzysk sił i szlachetności, cynizm propozycji rozmaitych „przyjaciół.” W końcu upadła i to tak nisko, jak wszystkie jej koleżanki, których życiem brzydziła się w początku... Upadła w dodatku z nędznym człowiekiem, z aktorem płaskim i małym, z cynicznym łobuzem, który umiał ją podejść, w chwili największego zaabsorbowania się jej istoty przyszłym szczęściem, a zawsze dla tego teatru, z powodu tej sztuki, której był, w jej mniemaniu, uosobieniem, dla tego, by usłyszeć wreszcie wstrząsający loskot braw i wołanie:

rozterką uczuć wobec zbliżającej się chwili wyboru dróg. Patrzyła w ciemnię nocy, znajdując w niej dziwną harmonję ze swoim stanem wewnętrznym. W miarę wzmaganja się walki, co raz chłodniejszy dreszcz ścinał jej serce, w którego krew młodą wsączyły się już krople zimnego jadu doświadczeń, zwątpień i bólu...

Co uczyni? — Niema o tem pojęcia. Czuje tylko, że nic dla niej nie będzie trudnem ani niemożliwem, tak jak mogło być jeszcze rok temu. Gdy wyjdzie z ukrycia ciemnej alei między tłum, zalewający ulice, musi pójść bez wahania, z gotowością przyjęcia wszystkiego, coby przyniosłaby ta fala, wabiąc ku sobie choćby złudzeniem zadowolenia, odpoczynku...

Na tę chwilę musi odrzucić okrywający ją szczelnie płaszcz dumy, tej dumy czerpanej z poczucia niezależności. Aż dotąd była głuchą na szept pokuszeń zmysłowych, które nie były zdolne wstrząsnąć dreszczem pożądania niewinnych, czystych jej ramion... Wie-

— Orłowska! Orłowska!

I wszystko to na nie! Głównej roli, w której miała wystąpić, pozbawiły jej złość i intrygi otoczenia. Została ugodzona w samo serce... Rozpoczęło się dla niej odtąd życie ciężkie, bez zapалу i nadziei, w przeświadczeniu, że na nic poszły trudy i wysiłki, że celu nie dopięła; życie sporniewierane i złamane w głodzie, w poniżeniu, w wyczerpaniu sił fizycznych i dusznych. Lepiej nie żyć! Janka szuka ucieczki w śmierci.

Wiadomość o jej otruciu się przyjmują znajomi wyrazem: „komedjantka;” tak samo dawniej, każdy szczery wybuch jej uczuć, wszyscy tem słowem wzgardliwem piętnowali.

WŁ. JABŁONOWSKI.

KRONIKA LITERACKA I ARTYSTYCZNA.

— Na ostatniem posiedzeniu wydziału filologicznego krakowskiej Akademji Umiejętności Dr. Kallenbach, profesor uniwersytetu Fryburskiego, złożył rękopis monografji o Mickiewiczu. Autor w pracy tej zajął się wyłącznie analizą utworów poety pod względem psychologicznym. To badanie rozwoju duchowego poety ma być bardzo ciekawe, zwłaszcza w rozdziałach, poświęconych analizie mistycyzmu Mickiewicza. W poglądach jego z lat młodzieńczych autor odnajduje zarodki przyszłego towianizmu; bada szczegółowo wpływ teozofa Saint-Martina na Mickiewicza i stosunek tego ostatniego do Towiańskiego. Prof. Kallenbach, mając dostęp do bibliotek i archiwów, gdzie niemało znajduje się materiałów do dziejów towianizmu, może łatwiej, niż kto inny, uzupełnić dotychczasowe studia o Mickiewicza gruntownym rozbiorem jego ewolucji duchowej w ostatnich latach życia. Pod względem psychologicznym

rzyła, że warto wyciągnąć ręce tylko wówczas, gdy życie uśmiechnie się obietnicą zadośćuczynienia naturalnym, szczerym, na wzajemności opartym uczuciom i stosunkom, nie mającym nic wspólnego z wyrachowaniem.

— Czy nie zbyt naiwną byłam?—pyta się teraz sama siebie. — Wszak życie trzeba brać takim, jakim ono jest!.. A gdy ono wypada tak, że każe mi wyzyskać, a nawet wyszukiwać umyślnie i skłonić do służenia moim celom te prądy i instynkty ludzkich piersi, które dotychczas omijam...

.....

— Co byłoby jednak — szepnęła do siebie z pogardliwą ironją, wchodząc na trotuar pełen światła i gwaru, — co byłoby przytem, gdybym się okazała... za brzydką, za marną, niezręczną?... Co byłoby?...

MARJA NAPIERAŁSKA (SIMARA).

jest to bodaj najciekawsza doba w jego życiu; dziwić się trzeba, że Bjografowie poety tak pobieżnie doniedawna ją traktowali, stanowi ona bowiem najwzjęczniejsze pole badań jego organizacji duchowej. Podług nas, nie był to okres upadku gienjuszu, lecz najwyższe jego wzbicie; z tego najwyższego punktu objąć dopiero można obszary i ocenić głębie tego ducha.

— Bjografowie Mickiewicza znajdują niemało ciekawego materiału w dokumentach wydanych świeżo przez Zygmunta Wasilewskiego w „Archiwum do dziejów oświaty i literatury” (tom IX). Odnoszą się one do lat 1822—27, a jest ich 79. Do ciekawszych należy notatka Tomasza Zana (1822), w pewnym stopniu potwierdzająca zdanie Kallenbacha, że „Mickiewicz na wiele lat przed spotkaniem Towiańskiego był już towiańczykiem.” Oto słowa Zana:

„Po czterech latach mojego na Uniwersytecie przebywania podałem się do egzaminu dla otrzymania stopnia Magistra filozofji w oddziale nauk fizyczno-matematycznych; razem ze mną kilku się podało. Ze współtowarzyszami memi odczytywałem i rozważałem przedmioty, z których na egzaminie sprawę zdawać trzeba było; w tem rozważaniu wzajemną wspieraliśmy się pomocą. Głównym moim przedmiotem była matematyka. W rozważaniu zasad rachunku różniczkowego przychodziły mi myśli, które dawałem wiedzieć współtowarzyszom. Między innemi utrzymywałem, jak sobie przypominam, że współczynniki różniczkowe nie innego nie znaczą, jak stosunek punktów, do których każda geometryczna wielkość w swoim ubywaniu przychodzi. Na to wiele miałem zarzutów, na zarzuty odpowiadałem już dowodami, już żartem, lecz że swego zupełnie nie odstąpiłem, współtowarzysze nazwali mnie p u n k c i s t ą, zwłaszcza, że wiele praw mechaniki przez tę zasadę punktów usiłowałem wyprowadzić.

„Czytając chemję prof. Śniadeckiego, szczególnie rozważaliśmy teorię istot t. zw. promienistych: światła, ciepła, elektryczności, magnetyzmu. I tu ze swojemi odkazywałem się myślami. Dowodziłem, że te istoty nie są ciałami, lecz pewnym fenomenem ciał przyrodzonych: tem jest oko względem światła, czem ucho względem dźwięku i głosu; słowem słońce jest basetlą dla oka, jak basetla zwyczajna dla ucha...

„W magnetyzmie uważałem pewny fenomen atrakcji miarkowanej niewidomym, bardzo delikatnym płynem. Stąd przyszło do uważania skutków magnetyzmu zwierzęcego, skutków dziwnych, a stąd do sympatji między płcią męską i żeńską i między ludźmi. Przypuszczałem, że miłość jest skutkiem atrakcji powszechnej, modyfikowanej siłami właściwemi istotom organicznym, a w szczególności ludziom, że moc tych sił utrzymywała się przez czystość i niewinność duszy i ciała; że się te siły rozprzestrzeniały w pewną około istoty delikatną atmosferę; że te siły wyobrażałem naprzd przez płyn delikatniutki, a potem przez wyraz p r o m i o n k i. Dla tego też współtowarzysze moi często przez żart nazywali mnie p ł y n n i a s t y, a potem, kiedy się im nowym wyrazem tłumaczyłem, p r o m i o n k o w i c z, p r o m i e n i s t y.”

Zarodek towianizmu leżał w duchu epoki romantycznej, w jej idealistycznych na świat poglądach. Magnetyzm ówczesny, którego znajomość Towiański

wywiózł z kraju, był, jak się zdaje, fundamentem jego pierwotnych teorii, zanim Mickiewicz nie zrobił z nich właściwego „towianizmu” — już bez pomocy nauk ścisłych. (x)

Z teatru. *Szantaż*, sztuka w 3-ach aktach D. Zglińskiego.

W niemałym kłopotcie znalazłby się sprawozdawca, gdyby chciał koniecznie zaspokoić ciekawość czytelników, pragnących dowiedzieć się, o co właściwie szło autorowi trzyaktowej sztuki pt. *Szantaż*, wystawionej świeżo w teatrze Rozmaitości: jaką myśl chciał w niej przeprowadzić, czego dowieść, czemu zaprzeczyć. Treść sztuki opowiedzieć można z łatwością, lecz niepodobna poprostu sformułować dla czytelnika, lub choćby tylko dla siebie, zadowalającej odpowiedzi na zadane przed chwilą pytania. Sztuka drażni swoją zagadkowością; autor wielu rzeczy nie chce, czy nie może domówić, i to właśnie, obok pewnych usterek technicznych, jest główną przyczyną niepowodzenia, z jakim nowy utwór p. Zglińskiego spotyka się na scenie.

Zagadkowym przedewszystkiem jest ów Józef Ormiński (p. Nowicki), kochający, jak się zdaje, szczerze córkę doktora Korabiela, lecz nie cofający się mimo to przed uciekaniem się do takich środków w celu pozyskania jej ręki, jak pogróżka ogłoszenia posiadanych przypadkiem papierów, które skompromitować mają doktora w oczach rodziny, społeczeństwa i władzy. Groźbami temi chce on zmusić ojca Heleny do oddania mu jej ręki, bez względu na potępiającą go opinię publiczną.

Oryginalne te, lecz nie zaszczytne konkury trwają przez całe trzy akty, a widz ostatecznie nie jest pewien, czy rzeczywiście ma do czynienia z oszustem i szubrawcem, czy też Ormiński niesłusznie oczerniony został przez wrogów i tylko, na nie-szczęście swoje, zamiast usprawiedliwić się z ciężących na nim zarzutów, zaprzecza im głośno i chce dopiąć celu przebojem, nie cofając się przed środkami szalonymi, lub nawet wprost niegodziwymi...

Zagadkowym jest również postępowanie państwa Korabielów z Heleną. Zamiast odrazu rozmówić się z córką stanowczo w kwestji, która ją przedewszystkiem obchodzi, co chwila za drzwi wysyłają dziewczynę, projektują wywiezienie jej na wieś (rzecz dzieje się we Lwowie), i dopiero przy końcu sztuki decydują się na wyjaśnienie sytuacji. Córka naturalnie po krótkiej walce poświęca się dla dobra ojca i daje stanowczą odprawę ukochanemu, który na jej prośbę zwraca dobrowolnie niebezpieczne papiery, poczem „anioł cziszy przelatuje nad domem całym,” i kurtyna zapada.

Są w sztuce p. Zglińskiego motywy niewyży-skane, jak np. stosunek dr. Korabiela do żony i całej ta, ukrywana starannie przed wzrokiem obcych, podziemna walka w łonie rozkładającej się rodziny mieszczańskiej. Gdyby autor większy nacisk położył na tę stronę kwestji i rzecz całą pogłębił nieco, dobroduszne słowa pani doktorowej, któremi kończy się sztuka, mogłyby wywierać wrażenie gorzkiej ironji, a tak są one tylko jedną jeszcze zagadką w tym

dziwnym ze wszechmiar i chybionym, niestety, utworze.

Poprawny wogóle język, gładki dialog i nawet wykwinne niekiedy porównania nie przemówią same przez się do widza, który od utworu dramatycznego ma prawo wymagać żywej i zajmującej akcji, albo trafiających do przekonania charakterów, albo umiejętnego poruszenia jakiejś żywotnej kwestji społecznej, albo wreszcie tak zwanej psychologii, — i nie z tego wszystkiego nie znajduje ostatecznie w Szantażu. Autor tego utworu dał w nim o wiele mniej, niż twórca Jakuba Warki zapowiadał. Jest to jednak w każdym razie grzech do zmazania...

WŁ. BUKOWIŃSKI.

BŁĘDY JĘZYKOWE.

51. — W jednym z Kurjerów, nr. 287, czytamy, że we Lwowie założono „przymusowy dom pracy,” a na jednym z szyldów w Warszawie stoi „Lecznica dla chorych umysłowych i nerwowych.” To tak, jak gdyby ktoś powiedział: Oszczędny gmach kasy, albo Pensja panien przychodząca i miejscowa.

NA WIDOWNI.

O duchach samotnych i tłumie przez nie osamotnionym.

Zabierając się do pisania, przygotowałem był sobie kilka par „bowiem,” „atoli” i „aczkolwiek” (tj. wyrazów, których nikt nie używa w mowie potocznej i którymi zastęp „natchnionych” odgradza się u nas od motłochu), gdy wpadła mi w rękę paryska korespondencja p. Wł. Mickiewicza, złożona, jak zwykle, z jego liter i z myśli cudzych — tym razem z myśli francuskiego krytyka Deschamps. Oto co mówi nasz kolega z kraju nadsekwańskiego. „Można powiedzieć bez przesady, że literatura rozwiódła się z ludem. Za monarchji i za cesarstwa pewna spójnia moralna łączyła autorów i prostaczków. Dziś pomimo tryumfu demokracji, pisarze tworzą kastę pełną pogardy dla parjasów proletariatu tak miejskiego, jak wiejskiego, kastę stroniącą od mas, bez najmniejszego współczucia dla nich... Rozdział między pisarzami a ludem coraz jest wyraźniejszy.” To przecztawszy, postanowiłem odrzucić wyrazy nieużywane w mowie codziennej i nie odgradzać się od tłumy, aczkolwiek nie sędzę, aby u nas aż takie środki zbliżania się wzajemnego i braterstwa były potrzebne; my bowiem, przypuszczamy prostaczków do udziału w pracach naszych i w zabawach, jak o tem świadczą tłumy grające w totalizatora. Pragnąc atoli, aby i Francuzi byli o sobie tak dobrego mniemania, jak my o sobie, spróbuję wytłumaczyć p. Deschamps'owi postępowanie

jego towarzyszy. Utrzymuje on, że Lamartine, Chateaubriand, Hugo nie zasklepiali się w literaturze, mieszała się do życia publicznego, że myśl ich daleko sięgała poza sklepy księgarskie, nie zamykała się w „ciasnych granicach tej *République des lettres*, która jest w rzeczywistości koterją skojarzonych w imieniu własnego interesu wyzyskiwaczy pióra.” Atoli, zauważyłbym tutaj, Lamartine i Hugo mieli się o co submitować motłochowi, gdy tymczasem wielkości dzisiejsze mogą mu śmiało powiedzieć: „Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś, panie” i jeżeli jeszcze dać co zechcesz, to chyba miotłą w nasze subtelne karki, aczkolwiek byłoby to zbyt cennym, my bowiem sami łamiemy je ciągle, wieszając się po buduarach, zrywając wonne kwiecie rozkoszy, skacząc przez wykroty i pnie obalonych dobrowolnie olbrzymów sztuki. Hugo i inni należeli w literaturze do kościoła wojującego, koryfeusze dzisiejsi są już w tryumfującym i zazdrośnie strzegą tego, co zdobyli dla nich tamci.

Największą klęską piśmiennictw spółczesnych nie jest pogarda tłumy: z gromadką takich gardzących historja piśmiennictwa i narodu będzie wiedziała, co zrobić w czasie właściwym. Istotną tragedją artystycznej myśli dzisiejszej jest przerażający wzrost duchów osamotnionych — jest to, że wielu z tych, którzy chcieliby znaleźć jakąś podstawę działania w masach szerokich, w ogromie dusz pokrewnych znaleźć jej nie mogą — albo dla tego że nie umieją szukać, albo że jej tam jeszcze niema. Mnich średniowieczny murami klasztoru i przesądu oddzielony był od tłumów: księgi były dla niego światem odrębnym, w którym żyło niewiele i który nie obchodził motłochu. Sfera uczuć i pojęć łączących wszystko i wszystkich; religja — równomiernie ogrzewała umysły, a w zakresie uciech estetycznych różnice były nieznaczne. Jeszcze dawniej tłuste barany i woły jednakowo zachwycali królów Homera, jak prostaczków, *das ewig weibliche* występowało w postaci najprostszej, nie domagając się od czytelników ani psychologii fizjologicznej, ani filozofji. Dziś jest inaczej. Liczba ludzi wykształconych wzrosła tak, że utworzyli oni naród w narodzie; przesady znikły, mury klasztorne rozstały się, inteligentów zaczęło ogarniać życie mas szerokich. Tragizm, jak mówią, polega nie na tem, że niektórzy potrafili się odgradzić — o takich mniejsza — ale na tem, że są inni związani z życiem, którego nie rozumieją i które ich nie rozumie: są to jakby dwie sfery górna i dolna, powietrzna i wodna, w których żyją niejednakich pragnień i sił niejednakich istoty: ogrom i moc cielesna, potęga drzemających i rozbudzanych od czasu do czasu pożądań — to znamiona istot ze sfery niższej, charłactwo ciała i wyczulona do bólu, do chorobliwości świadomość jaźni własnej i jej osamotnienia — to cechy istot sfery powietrznej. Poeta, pisarz „osamotniony” — to wąty ptaszek, uwiązany na cienkiej nici

do pletw podwodnego olbrzyma, który się już pograża w swych pleśniach porosłych bezmiarach, już wynurza się na powierzchnię i z którym ruchy mimowolne, konwulsyjne drgania, odbywać musi jego więzień: albo się udusi wśród pleśniejących murów, albo gdy zdoła się urwać, ginie w wyżynach niedościgłych, a pieśń jego, czasem nawet donośna nie może już nigdy pozbyć się tonów bólu, skargi, przebytych cierpień. *Igitur delenda est...* tu właśnie, powtórzę po raz już nie wiem który, występuje w całej swej grozie nagła, nieublagana konieczność równiejszego podziału chleba duchowego pomiędzy warstwami narodu, lecz tu właśnie objawia się niebezpieczeństwo ciągłego ścigania nowych, coraz to bardziej promiennych i coraz wyższych wdziań piękna i prawdy — kiedy najprostsze, codzienne ich postacie nie są ani zrozumiałe, ani dostępne dla mas szerokich. Nie to jest, mówię, straszne, że filister robiący powieści albo guziki zamyka się w gabinetach modnej restauracji, ale to, że ci, co chcą przełamać chleb swój z ludem, uczynić tego nie umieją. Tak się już oni sami nasycili powszednią strawą ducha, że ilekroć zaproszą młodszych na ucztę, głodnych i spragnionych, dają im mdle łakocie, albo wonne likiery poobiednie.

Czasem jakaś rozpaczna wesołość ogarnia tych „oderwanych,” czasem mają oni jakby jasnowidzenie tego, że jednak dławienie się wśród bagnisk i topielisk nie powinno być ich być udziałem, że inni zdołali, bądź co bądź, znaleźć szlak pogodny, po którym stąpają z wiarą i nadzieją, nie grzęznąc w błocie i nie ginąc wśród martwej ciszy nadziejskiego bezmiaru. Nie znam nic bardziej rozdzierającego duszę, jak tych oto kilka słów Tetmajera:

*Vogue la galère! Niech płynie łódź,
Niech grzęźnie po szczyt rei —
Tonący błotem będziemy płuć
Vogue la galère... A tam, w oddali
Sto łodzi mknie po mroźnej fali,
Sto świeci im nadziei...*

Ten cudowny kwiat poezji chorobliwej — którego przeznaczeniem jest odurzyć w chwili duszenia się w błocie, znalazłem obok innych subtelności psychologii literackiej w dzienniku przeznaczonym... dla szerokich mas inteligencji. Tak dalece prawdą jest, że masom szerokim służyć nie umiemy. Nie umie tego, nie rozumie tych mas nawet sam ich obrońca francuski, znaczenia ich nie uznaje. Oburza go doszukiwanie się poprzedników gienjusza w tłumie przewodnich duchów pomniejszych. Gniewa się on, że krytyka literacka radzi czytać Hardy'ego tym, którzy chcą zrozumieć Corneille'a. „Zdawałoby się, czytając recenzentów, mówi on z pogardą, że jeżeli pierwszy lepszy nauczyciel gimnazjalny nie jest drugim Dantem, to jedynie dla tego, że przez wrodzoną delikatność nie chciał okradać Vergiljusza.” Nie jest to obrona gienjuszów, lecz pyszałkostwo, w którym znikły, utonęły, zarówno uzna-

nie zasług umysłów małych, jak i pojmowanie istotnej roli wielkich. Ale złośczenie się takie jest nieszkodliwe. Spokojny badacz myśli ludzkiej — tak w dziedzinie twórczości artystycznej, jak i naukowej — znajdzie zawsze stopnie pośrednie, po których dojdzie aż do najwyższych ołtarzy gienjuszów największych. Skromnym pracownikom piękna i wiedzy nie odbierze on ich zasługi przygotowania, spulchnienia gruntu, na którym wystrzela później wspaniały kwiat gienjuszu. Nie ujmie on, lecz przeciwnie, doda blasku gienjuszowi, tłumacząc ludziom, że w arcydziele odzwierciedla się nie tylko bezwiedna biologiczna działalność mózgu odziedziczonego po rodzicach, ale skrytykowaną się też świadoma praca ducha, syntezująca pierwiastki rozproszone w tłumie duchów pokrewnych. Deschamps, a może tylko p. Wł. Mickiewicz, tak dalece nie rozumie potrzeb i marzenia swojej „demokracji,” że w obronie jej rad byłby użyć środka jaknajbardziej arystokratycznego. „Dla wyjścia z tak tragicznego położenia trzeba męża, któryby opanował tłumem, poprowadził go, zamiast wlec się za nim i położył koniec antagonizmowi wyższych i niższych warstw narodu.” Jeszcze jednego męża? Może dwudziestu czterech? Czyż mało ich już było? I nie raz, ale sto razy przewodnik wznosił się tak wysoko, że aż nikał w blaskach legendy bohaterskiej, mitu, podania, a tłumy wlokły się, jak dawniej, u podnóża stromej, niedostępnej dla nich wyniosłości. Nie męża potrzeba, któryby prowadził i opanował, ale tłumy, któryby iść umiały; należy zrozumieć samemu i wytłumaczyć innym, czem dla myśli gienjuszów może i powinien być „pierwszy lepszy nauczyciel,” należy pamiętać albo przypomnieć sobie, że od czasu Homera, od czasu najpierwszych bajarzy każdego narodu, nie było już poetów narodowych, że ci, którym to miano nadajemy, noszą je tylko przez uzurpację — dzięki przywłaszczeniu nazwy narodu przez jedną warstwę jego lub kilka. Nie trzeba i niema sposobu usunąć antagonizmu pomiędzy wyższością a niższością: nie trzeba, gdyż jest to jedyna dźwignia postępu, niepodobna, bo wyższość z natury swojej dąży do unicestwienia niższości; potrzeba tylko podniesienia niższości do poziomu wyższego. Antagonizm warstw niższych i wyższych nie zginie, dopóki warstwy te istnieć będą. Nie-równość duchowa warstw różnych jest dla gienjuszów samych klęską większą, niż sądzimy. Za jej to właśnie sprawą powstała tak modna dzisiaj teoria nadczołowieczeństwa, teoria, która każe nam wierzyć w jakiś rozpaczliwy i niczem nie dający się usunąć rozbrat pomiędzy duchami wybranych a umysłowością przeciętną. Gienjusz jest podług niej nie olbrzymem, ale potworem ducha, skazanym na wieczne konwulsje i duszenie się w błocie poziomu powszechnej, albo na samotność jakiegoś olbrzymiego stylity, tkwiącego na wierzchołku piramidy ze zwyczajnych czaszek ludzkich. Konwulsje te i owa samotność są karą

gienjuszów za oderwanie się od życia: ci, którzy oderwali się zupełnie, mieszkają wśród chłodnych mgławic własnej myśli; ci, którzy nie zdolali się oderwać całkowicie, grzęzną i dławią się. Patrząc na najwyższe nawet zagadnienia życia przez pryzmat swojej warstwy „wyższej,” nie zaś okiem zespolonego z całością jestestwa — nie mogą oni wyczuć stopami właściwego gruntu pod sobą i albo spadają w niziny, albo się oburącz trzymają swych samolubnych szczytów.

JAN WEZNAKI.

G Ł O S Y.

Rzekomy upadek czytelnictwa. — Czytelnie rzemieślnicze. —
Nauczanie froebrowskie. — Miłe stosunki łódzkie.

(wl). Było u nas niegdyś zwyczajem wymyślanie społeczeństwu, że nie nie czyta, pismu nie prenumeruje, księgarń nie popiera, wpływając tym sposobem na zastój ruchu umysłowego. Ostra krytyka zrobiła w części swoje: w ostatnich latach 20-tu niewątpliwie procent czytających wzrósł ogromnie; wskazuje na to zarówno statystyka czytelników, jak i stałe powiększanie się liczby księgarń, tych barometrów ruchu czytelniczego. Pomimo to, często jeszcze spotykamy utyskiwania na obojętność ogółu dla literatury. Sprobujmy określić, czy skargi te są uzasadnione.

Cóż czyta ten ogół? Przedewszystkiem pisma, które dają mu strawę literacką, przystosowaną do jego codziennych potrzeb. Z książek pierwsze miejsce zajmuje beletrystyka, której chorobliwy rozwój niejednokrotnie już zaznaczano. Co do książek poważnych zdania są podzielone. Kto był w przykrem położeniu kołatania do drzwi wielu wydawców z rękopisem pracy naukowej, wie, że zawsze spotka się z odpowiedzią, iż rzeczy poważne „w handlu księgarskim nie idą.” Tymczasem wiemy o tłumaczeniach dzieł naukowych z obcych literatur, które zostały wyczerpane, co przeczy powyższemu twierdzeniu.

Brak literatury naukowej spada ciężką winą na barki zarówno autorów, jak i wydawców. Pierwsi, mierząc społeczeństwo miarą zachodnio-europejską, zapominają, że stoi ono jeszcze na tym stopniu rozwoju, gdzie popularne przedstawianie wyników wiedzy jest pierwszorzędną potrzebą; drugim brak ruchliwości inicjatywy i niezbędnej w interesach handlowych śmiałości. Wielkie firmy wydawnicze grzęzną w rutynie, w działalności swojej obierając drogę najmniejszego oporu; początkujący zaś wydawcy obawiają się deficytu. A przecież dawne firmy powinny poczuwać się do obywatelskiego obowiązku wydawania od czasu do czasu dzieł naukowych, bez względu na to, czy się sownie opłacą. Kto wie, jak wysokie są u nas honoraria autorskie, ten rozumie, że spełnienie tego obowiązku bynajmniej nie byłoby połączone z wielką ofiarą materialną.

Dowód niedołęstwa wydawniczego naszych księgarzy mamy przed oczyma. Potrzeba było bankiera, aby wbił im w głowy, że można bez straty wydać arcydzieła beletrystyki polskiej i zasłużyć sobie w dodatku na poklask ogółu.

Gdy mowa o czytelnictwie, zawsze trzeba różnić spreczne interesy wyrobników literatury (autorów, tłumaczy, dziennikarzy) i jej przedsiębiorców (wydawców, księgarzy). Pierwsi, trapieni niedolą materialną, narzekają na ogół, że usiłowań ich nie popiera. Drudzy wtórują im gorliwie, ale pocichu śmieją się, zgarniając so-wite dochody. Nam się zdaje, że na utyskiwaniach z powodu obojętności społeczeństwa oni robią najlepszy interes...

(x) Od pewnego czasu poczęto u nas myśleć o czytelnictwie dla rzemieślników. Miasto, które zdobyło się już na muzeum i szkoły rzemieślnicze, dało dowód, że rozumie potrzebę udoskonalania rzemiosł, jest więc nadzieja, że na czytelnictwie rzemieślnicy nie długo będą czekali.

Był projekt, aby każdy cech zakładał własną bibliotekę i kłopotano się zgóry tem, że nie wszystkie cechy, z powodu swego ubóstwa, będą mogły na czytelnictwie sobie pozwolić. W ostatnim n-rze *Gazety Rzemieślniczej* p. Z. Mak. wypowiedział w tym przedmiocie bardzo rozsądne słowo. Radzi on mianowicie, aby czytelnictwo nie rozdrabniać, lecz założyć na początek parę wspólnych wspólnymi siłami rzemieślników. P. Mak. przytacza przykład Jednoty przemysłowo-rzemieślniczej w Pradze Czeskiej, godny naśladowania. Czytelnia Jednoty, służąc wszystkim rzemieślnikom, rozwija się bardzo pomyślnie i z wielkim dla członków pożytkiem.

Argumenty w obronie czytelnictwa zbiorowego są bardzo proste i przekonujące.

Czytelnia pojedynczego cechu nie może mieć na pulkach wyłącznie dzieł fachowych; każda z nich musi posiadać księgozbiór literatury ogólnej; potrzeby czytelników każdego zgromadzenia rzemieślniczego będą jednakowe, podczas gdy środki ich są bardzo rozmaite. Powstanie wiele czytelnictw, z których większość będzie marna i obciąży nieproporcjonalnie budżety cechów. Tymczasem czytelnia zbiorowa (lub parę) rozwijać się może doskonale i zadowoli wymagania wszystkich; koszt jej będą bezwzględnie (najem lokalu, ilość egzemplarzy książek) mniejsze i nadto rozłożone będą proporcjonalnie do zasobności cechów. W miarę wzrastania wspólnych funduszy, zwiększać się będzie ilość czytelnictw. Zarząd takiej zbiorowej instytucji miałby dość wpływu i sposobności, aby fundusze na ten cel rozmaitemi sposobami pomnażać. P. Z. Mak. wierzy, że „ludzie dobrej woli, których nam, póki co, nie brak”, poparliby gorąco instytucję.

(wl). Warunki życia pchają coraz więcej kobiet na drogi samodzielnego zarobkowania. Większość jednak tych dróg jest dla nich zam-

knięta, nie więc niema w tem dziwnego, że, gdy tylko otworzy się droga jakiegokolwiek kariery, wiele kandydatek ciśnie się na nią, wytwarzając nadprodukcję pracowniczek w danej gałęzi. Fakt ten obserwować można było, gdy zapanowała u nas moda nauczania według metody froeblovskiej.

Kto na ruch w tym kierunku patrzył od początku ze sceptycznym uśmiejchem, utwierdził się napewno w swym sceptycyzmie po przejrzeniu rezultatów pracy froeblovek na wystawie higienicznej. Ludzie niefachowi kiwali głowami, uwagi swoje chowając dla siebie, lecz oto znalazły one poparcie w *Przeglądzie Pedagogicznym* (art. wstępny p.t. „Nasze Froeblovki”). Autor artykułu opiera swoje twierdzenia na zarzutach rodziców:

„Zarzuty sprowadzają się do tego, że bony tej kategorii nie posiadają przymiotów potrzebnych dla wychowawczyni, któraby mogła racjonalnie kierować umysłowym rozwojem dzieci, a jednocześnie uchylają się od obowiązków związanych z dozorem i fizycznym pielegnowaniem dzieci. Froeblovka zamiast dopomóc dzieciom w ich naturalnej zabawie lub, gdy zbraknie im własnej inicjatywy, podsunąć zajęcie odpowiednie, poprostu narzuca dzieciom cały gotowy aparat sześcianków, cegiełek, wyszywanek, wyplatank itp., który stara się w praktyce przeprowadzić z całą drobiazgowością, trzymając się „planu”, „metody”, nie darując ani jednego nudnego szczegółu. Co do pogadanek przyrodniczych i geometrycznych dawanych dzieciom przez bony froeblovki, to — pisze jedna z matek — „trudno sobie przedstawić coś bardziej niemądrego i niepedagogicznego. Mają to być pogadanki *poglądowe, o rzeczach, a co chwila powtarza się w nich wyrażenie: wyobrażcie sobie, a więc dzieci wyobrażają sobie: kopalnię węgla, komórki roślinne, cząsteczki tlenu (moja froeblovka mówiła z początku „tlanu”, widocznie tak napisała w kajecie), maszyny do fabrykacji papieru, wyrób świec itd., wszystko to wypowiedziane w sposób wielce naiwny, z przekręcaniami nazwami. O innej froeblovce opowiadano nam, że dzieciom pogadanki czyta z książki, przyczem jakoby nie opuszcza takich nawet wyrażen: „tu nauczycielka pokazuje wiewiórkę”...*

Pochodzi to stąd, że poziom przygotowania ogólnego i fachowego naszych froeblovek jest bardzo niski.

„Uczennice przyswajają sobie wyrazy i zdania, których w większej części nie rozumieją lub rozumieją opacznie, widzą w nich „naukowe pewniki” i stosują jak recepty przypadkowo z Poradnika Lekarskiego wypisane — szablonowo, bez względu na warunki czasu, miejsca i indywidualności dziecka. Jednocześnie osoba taka wyobraża sobie, że wraz z poznaniem „darów froeblovskich” spłynęły na nią i dary Ducha św., że od nikogo rad i uwag przyjmować nie może, a tembardziej od tych, którzy nie zostali poświęceni w tajemnice „przeplatania” i „wykluwania”, osoba taka, rozumie się samo, już tylko przez szczególne poświęcenie i abnegację, może się niekiedy zniżyć do tego, ażeby dzieciom obcierać nosy lub zapinać majtki.”

Taki stan rzeczy potrzebuje gruntownej reformy. Oto co autor mówi o niej odnośnie do dzieci:

„Pogadanki geometryczne i przyrodnicze należałoby zupełnie z programu wyłączyć, gdyż o ile wogóle mogą być one bardzo cennym środkiem kształcącym, o tyle znów są narzędziem zbyt delikatnem, ażeby mogły niemi operować umysły zbyt grube. Co najwyżej możnaby bonom dać szereg objaśnień przyrodniczych o zjawiskach otaczających, dla ich własnego użytku, dla sprostowania ich własnych błędnych pojęć, ażeby później mimowolnie nie udzielały ich dzieciom w rozmowach. W miejsce wszelkich „pogadanek”, należałoby, zdaniem naszym, zapoznać przyszłe bony w najobszerniejszym zakresie z bogatą literaturą baśni, opowiadań fantastycznych i obyczajowych, o raz wierszyków.”

Zakończenie poświęcone jest kształceniu samych froeblovek:

„Podstawę racjonalnego kształcenia w tym kierunku stanowić musi z jednej strony gruntowny wykład historii wychowania, z drugiej psychologia. W pierwszej z tych nauk różne systemy zostają ze sobą skonfrontowane i krytycznie ocenione, druga, tj. psychologia, daje możność przeprowadzenia tej oceny oraz przyswojenia sobie świadomych, umotywowanych poglądów na współczesne warunki i środki wychowania.”

(—) *Dziennik dla wszystkich* umieszcza list, będący ciekawym przyczynkiem do charakterystyki dziecienia obyczajów w Łodzi. List ten warto przytoczyć w całości.

„Przed tygodniem, wezwany zostałem w sprawie cywilnej z Warszawy do sądu gminnego w osadzie Rzgów o 10 wiorst od Łodzi. Przyjechawszy do tego miasta, postanowiłem udać się do któregoś z adwokatów, aby mu powierzyć obronę mego żądania co do wyłączenia pewnych rzeczy z pod zajęcia sądowego. Obey zupełnie na bruku łódzkim, musiałem zaufać trafowi. Jakoż idąc ulicą Dzielną, znalazłem, czego szukałem. Na domu Nr. 20 wyczytałem napis: „Adwokat.” Za chwilę byłem już w mieszkaniu mego przyszłego dobrodzieja. Opowiedziałem w krótkich słowach, o co mi idzie, poczem zapytałem, czy podjął by się obrony i na jakich warunkach? Pan „hadwokat” z najśłodszy na ustach uśmiejchem rzekł: „i owszem;” za „pracę” zaś swoje tj. za jedno stanięcie zażądał rubli 20. Odpowiedziałem, że gdy w sprawie chodzi jedynie o rs. 50, nie mogę ponosić kosztów tak wygórowanych, ukloniłem się grzecznie i zabrałem do wyjścia. Ale pan „hadwokat” zastąpił mi drogę i groźnym głosem zażądał rubli trzech za... czas stracony na rozmowę ze mną!... Zdziwiony tem niesłusznym wymaganiem, odmówiłem zapłaty i znowu do wyjścia zmierzalem, wtedy jednak pan „hadwokat” odepchnął mnie niespodziewanie od drzwi i zaczął okładać pięścią! Na krzyk, jaki podniosłem, wylegli na schody lokatorzy i byli świadkami, że już w połowie drzwi byłem szarpany przez pana „hadwokata” i... nawet jego

godną małżonkę. Wydostałem się z pułapki po chwili z oberwaną klapą od palta i polamanym kapeluszem..."

Z OBCEGO ŚWIATA.

OSTATNIE GŁOSOWANIE LUDOWE W SZWAJCARJI.

Prawa, które w czasach ostatnich były przedmiotem głosowania ludowego w Szwajcarji, na pozór nie są zbyt interesujące, lecz oświecenie przyczyn i rezultatów głosowania od razu wprowadza nas w świat najciekawszych i najzawilszych zagadnień polityki praktycznej.

Odrzuca się w oczy jedna wątpliwość, nawet człowiekowi przychylnemu demokracji szwajcarskiej. Prawo o rachunkowości kolei musi być z natury rzeczy bardzo zawilem, dostępnem jedynie dla uczonych specjalistów, jakimże więc sposobem może być ono przez lud trafnie osądzonem? Bo, aczkolwiek znamy niezmiernie wyrobienie polityczne Szwajcarów, jednakże przypuścić nie można, aby wykształcenie ich sięgało aż tak wysoko.

Dla człowieka wszechstronnie wykształconego każda kwestja sporna przedstawia się przede wszystkim ze strony teorii, która najlepiej ją objaśnić może. Człowiek pracy fizycznej inaczej rzecz bierze; sądzi on nie rozumem, lecz uczuciem; rozumowanie jest dla niego rzeczą drugorzędną, głównie zaś znaczenie ma hasło, tj. streszczenie danej kwestji w kilku wyrazach, dosadnie malujących jej znaczenie dla jego interesów. Pierwszą zatem operacją w danym wypadku jest zamiana zawilego projektu do prawa w popularne hasło.

Tysiące moglibyśmy przytoczyć przykładów, że na tej zasadzie odhylały się zawsze głosowania ludowe w Szwajcarji. I tak np., prawo o zniesieniu zarzynania bydła poddawało hasło „precz z żydami,”¹⁾ prawo banku państwa znaczyło ograniczenie pola działalności poszczególnych kantonów itp. W danym wypadku hasłem było „precz z kapitałem obcego pochodzenia.”

Znaną jest historia kolei żelaznych na całym świecie. Państwo jako takie przedstawiało zawsze zbyt ciężką machinę, aby mogło podjąć się eksploatacji nowego, a więc niepewnego wynalazku; do inicjatywy w tym kierunku potrzeba było silnego bodźca interesów prywatnych. W miarę tego jednak, jak jeżdżenie kolejami stawało się coraz bardziej codzienną potrzebą, odnośne przedsiębiorstwa nabierały charakteru instytucji użyteczności publicznej. Państwo, jako naturalny reprezentant tych interesów, musiało kłaść swoją ciężką rękę na gospodarce akcjonariuszów. Stąd powstało wspólne wszystkim państwom dą-

żenie do upaństwowienia kolei, któremu podlega i Szwajcarja w swej polityce kolejowej.

Im bardziej organizm jest rozwinięty, tem bardziej komplikują się jego czynności. Zdanie to znajduje swoje zastosowanie w danym wypadku, ponieważ, gdy w innych krajach upaństwowienie kolei ma tylko dwie strony, mianowicie interesów publicznych i interesu prywatnego, tutaj ma jeszcze dwie dodatkowe: stronę narodowościową i interesy poszczególnych kantonów.

Kraj tak mały, jak Szwajcarja, nie mógł się oczywiście zdobyć na przeprowadzenie sieci kolei przy pomocy jedynie swoich własnych kapitałów, zwłaszcza, że z powodu górzystego położenia, budowa dróg żelaznych jest tam nadzwyczaj kosztowna. Usłudni kapitaliści obcych narodowości, przeważnie pogranicznych, pośpieszyli chętnie z pomocą. Rozporządzając dużemi kapitałami, rozkazując licznemu personelowi służbowemu, nie mogli oczywiście pozostać bez wpływu na bieg polityki miejscowej, którą sterowali bądź to w kierunku swoich interesów materialnych, bądź też narodowościowych. Z tej gospodarki dwa przytoczymy fakty. Około r. 1875 proponowana była rewizja konstytucji szwajcarskiej w kierunku centralistycznym. Wpływ wielkich kompanji kolejowych sprawił, że reforma ta została odroczone. Powód takiej polityki łatwy jest do zrozumienia. Towarzystwa akcyjne mogły uzyskać i uzyskały dogodniejsze warunki i większe subwencje od poszczególnych kantonów, aniżeli od scentralizowanego rządu. Dzięki tej polityce na kolei Gotardzkiej, dziś Włochy i Niemcy mają wpływ większy niż Szwajcarja. Dziesięć lat potem mniej więcej stosunki pomiędzy Niemcami i Szwajcarją były silnie naprężone. Żelazny książe, nie znający granic w swych instynktach zabórczych, przemysliwał nad zaborem Szwajcarji. Pragnąc się zabezpieczyć na wszelki wypadek, polecił on swej prawej ręce finansowej, bankierowi Bleichröderowi skup akcji kolei centralnej, łączącej pograniczną stację szwajcarską, Bazyleę, ze środkiem Szwajcarji. Patrzyliśmy na niezmiernie oburzenie, jakie ten projekt wywołał w Szwajcarji, skoro go ujawniono. Ale spostrzeżono się dość wcześnie.

Dwa te fakty dostatecznie określają uczucia, jakie żywić musi przeciętny wyborca szwajcarski względem zarządów dróg żelaznych. To też pomijamy milczeniem liczne tych zarządów nadużycia, zwrócimy tylko uwagę na naturalny wstręt drobnomieszczańskiego demokratty do przedstawicieli wielkich przedsiębiorstw. Ale tym uczuciom narodowościowym staje w poprzek interes kantonalny; patriotyzm węższy walczy o lepsze z patriotyzmem ogólnoszwajcarskim. W samej rzeczy każde ograniczenie władzy akcjonariuszów przelewa część ich potęgi w ręce rządu centralnego. Ten z natury rzeczy jest bardziej zależnym od wielkich kantonów przemysłowych, a interesy małych, ubogich kantonów środkowych muszą ponosić szwank w tym wypadku.

Ale, cóż za związek ma to wszystko z prawem o rachunkowości kolei, które dało nam

¹⁾ Jak wiadomo, religja żydów nie zezwala na jedzenie mięsa, pochodzącego z bydła, nie zabitego w specjalny sposób.

pochop do wypowiedzenia tych kilku uwag ogólnych? Bliższy, aniżeli się na pierwszy rzut oka wydaje. Jest ono jednym z etapów polityki kolejowej rządu szwajcarskiego, prowadzonej wytrwale, acz powoli w kierunku upaństwowienia kolei od czasu kiedy odnośny projekt rady związkowego Welty'ego upadł tak fatalnie, że zdruzgotał karierę polityczną tego wybitnego męża stanu. Pierwszym krokiem było prawo o towarzystwach akcyjnych, ograniczające ich władzę zakazem figurowania akcjonariuszów fikcyjnych i wprowadzeniem do zarządów znacznej liczby przedstawicieli rządów tak centralnego, jak i kantonalnych. Obecne prawo wkłada na towarzystwa kolejowe obowiązek prowadzenia ksiąg rachunkowych według zgóry ustanowionej formy, a to w celu ułatwienia kontroli państwowej nad ich finansami. Teraz już pozostaje jedno tylko—skup kolei przez państwo.

Prawo o rachunkowości kolei uchwalone zostało w głosowaniu ludowym 218.000 głosami przeciwko 169.000. Wiemy już mniej więcej, jakie powody kierowały większością, ale co spowodowało tak znaczną mniejszość?

Rezultat tego głosowania jest szczególnie ważnym dla współczesnej historii Szwajcarii, zaznacza on bowiem erę antagonizmów rasowych: mniejszość ta, niemal bez różnicy stronnictw, zgrupowała się w kantonach romańskich. Nie jest to zresztą pierwszy objaw tego antagonizmu, ale pierwszy tak silny i tak znaczący. Nie chcemy też zaprzeczać wpływu czynników ściśle politycznych: stronnictwo radykalne, dzierżące ster władzy, skłania się silnie w kierunku socjalizmu państwowego, socjaliści tembardziej, prawica katolicka wreszcie w znacznej swej większości musiała głosować za prawem, ponieważ autorem jego był jedyny jej reprezentant w Radzie związkowej, Adolfa Zemp. Bądźco bądź jednak czynniki te nader małą rolę odgrywały w kantonach francuskich.

Kilka na to składa się przyczyn. Najpierw natury ogólnej: rasa romańska w daleko silniejszym stopniu jest indywidualistyczną, niż niemiecka; nawet prądy kolektywistyczne przybierają u niej specyficzny, zabarwiony nieco anarchizmem charakter; nie ma ona panteistycznego kultu państwa, ani tej wrodzonej karności właściwej Niemcom; wpływ dawnych Rzymian odbił się na ostatnich daleko silniej, aniżeli na bardziej im pokrewnej rasie. Szwajcaria jest tak ukształtowaną, że znaczną w niej przewagę liczebną ma ludność pochodzenia niemieckiego. Pomimo wrodzonego taktu politycznego Szwajcarów, pomimo stosowania rozmaitych zapobiegawczych środków w rodzaju przedstawicielstwa proporcjonalnego, przewaga ta w rządzie daje się silnie odczuwać. To powoduje stałe niezadowolenie w kantonach francuskich, które wybucha przy lada sposobności. W tej armji opozycyjnej w tyle ciągną się maleńkie, ale tradycjami najstarsze kantony (Schwyz, Uri, Unterwalden, Zug), którym niepodobna się hegiemonja wielkiego Zurychu i Bernu i budzi się zastarzała nienawiść wasalów do „panów” berneńskich i zurychskich.

Jakiż może być rezultat tego nowego zwycięstwa większości? Minęły już czasy, gdy posłowie niezadowolonych kantonów opuszczali sejm, aby z bronią w ręku, często z nieprzyjaciółmi kraju do spółki dochodzić swych odwiecznych praw. Dziś jedyną bronią w ich ręku jest odwołanie się od decyzji „panów z Bernu” do sądu ludu szwajcarskiego. Używają oni też tej broni i nadużywają. Bezpośrednie prawodawstwo ludowe, stosowane umiarkowanie, jest stałym bodźcem rozwoju samowiedzy politycznej. Stosowane zbyt często, w celach obstrukcyjnych, pogrąża kraj w stałym niepokoju i w rezultacie prowadzi lud do zubożenia politycznego. Skutki widoczne już są w powolnym zmniejszaniu się liczby uczestników w głosowaniach ludowych.

Nad współczesnym życiem Szwajcarii zawisła ciężka chmura. Jeżeli nie sprowadzi ona burzy, to tylko dzięki licznym piorunochronom w postaci rozmaitych praw, ograniczających prawa większości. Zresztą, w razie jakiegoś kryzysu, jakiegoś naporu z zewnątrz wątpić nie można, że wszelkie interesy poszczególne ustąpią przed widmem ogólnego niebezpieczeństwa.

O możliwości takiego kryzysu, o środkach zapobiegawczych myśli zawczasu przeorny rząd szwajcarski. Współczesne uzbrojenia na wielką skalę państw europejskich, nie mogły nie odbić się i na Szwajcarii, pomimo gwarantowanej jej przez rozmaite traktaty neutralności. Wszakże w danym wypadku musi jej Szwajcaria bronić. W tym celu prowadzoną jest konsekwentnie polityka wojskowa rządu szwajcarskiego: fortyfikowanie górskich przesmyków, konieczne zmiany w armji, silniejsza jej centralizacja. Ale poza dobremi stronami tej polityki są i złe. Zaszlepieni militarystką państw ościennych kierownicy wydziału wojskowego zbyt często zapominają o tem, że inną być musi armja demokratyczna, aniżeli monarchijna. Owocem takiego zapomnienia było prawo o karach dyscyplinarnych w armji. Niepodległy lud szwajcarski nie zapomina atoli o swoich prawach: 299.500 głosów przeciwko 75.800 skazało na zagładę poroniony plód parlamentu szwajcarskiego.

Ludzie patrzący zdaleka lekceważą wojsko szwajcarskie z powodu panującej w niem swobody, braku służby paroletniej itp. Zapominają o tem, że swoboda ta nie wyłącza dyscypliny, a żaden Szwajcar nie potrzebuje służby, bo od dziecka kształcą go na żołnierza. Czemże są te ciągłe lekcje gimnastyki, popisy i ćwiczenia strzeleckie, jeżeli nie całe życie trwającą szkołą wojskową? To też takich strzelców, jak Szwajcarja, nie posiada żadne inne państwo. Manewry wojskowe zaś zyskiwały uznanie specjalistów, zapraszanych rok rocznie przedstawicieli innych państw. Kompetentne ich zdanie dowodzi, że dobrze zorganizowana milicja tyle warta jest, co armja stała.

L. W. NIESTUMNICKI.

Przegląd Polityczny.

Podczas gdy w Rzymie brzmią salwy dział na cześć młodej pary, a po ulicach wiecznego miasta snuje się tłum różnobarwny i szaleje z radości, w Abisynji 1.600 jeńców włoskich jęczy w niewoli, oczekując niecierpliwie na zakończenie układów pokojowych. A te zwyczajem wschodnim ciągną się długo. Major Nerazzini przybył do Szoi około 20 z. m., a najśmielsze marzenia nie spodziewają się zawarcia pokoju, lub ostatecznego odrzucenia warunków przed 1 listopada. Warunki mają być takie: skreślenie traktatu z Uczelli i uznanie względnej niezależności Abisynji, zastosowanie granicy do biegu rzeki Mareb i zwrot kosztów utrzymania jeńców. Gdy narady odbywają się w Szoi, na granicy Erytrei rasowie ściągają swoje wojska, tłumacząc się buntami plemion sąsiadujących, które uspokoić muszą. Na ruchy te gen. Baldissera patrzy nie bez niepokoju, czego dowodem jest zawezwanie z Włoch wszystkich oficerów armji afrykańskiej, którzy bawią na urlopie.

Parlament francuski został otwarty 27 b. m. ze zwykłymi formalnościami; na posłów oczekują tuziny interpelacji, które trzeba będzie zlikwidować. Naczelnicy dwóch armji nieprzyjacielskich, jeżeli we Francji o regularnych wojskach parlamentarnych mówić można, zagrali już pobudkę do ataku mowami swemi w Carcassone i Oleron. Rząd wniósł projekt decentralizacji administracyjnej i utworzenia armji kolonjalnej.

W Anglii nastąpił sezon mów wybitnych mężów stanu, do których powodem służy rozprzeżenie w stronnictwie liberalnem. Niejaki Morgan chce usunąć się z parlamentu i zrobić miejsce Gladstone'owi, który, jednym, zdaniem jego, może zjednoczyć rozproszone siły. Sir Wiliam Harcourt ogłosił list, w którym wyraża ubolewanie nad dymisją lorda Rosebery'ego. Krok ten ze strony notorycznego rywala, wzbudza ogólną wesołość.

Wiadomości urzędowe z Kuby brzmią, jak zwyczaj, pomyślnie. Według nich, uspokojenia prowincji Pinar del Rio, Havany i Matanzas spodziewają się w jaknajkrótszym czasie. Szkoda, że równie pomyślni nie są wiadomości z samej Hiszpanji. Po odmowie kolei żelaznych, rząd chciał zaciągnąć wewnętrzną pożyczkę w ilości miljarda franków, licząc na patriotyzm kapitalistów miejscowych. Zawiódł się na nim oczywiście. Obecnie rząd zmuszony jest liczyć na ofiarność publiczną, która również zawieść może, a tu podstawą każdej wojny są przedewszystkiem pieniądze. Na Filipinach podobno Hiszpanie zwyciężają; wiadomość tę zresztą podają również źródła urzędowe.

W Bułgarii zostało Sobranie rozwiązane i nowe wybory naznaczono na 29 listopada. Powody są następujące: rząd uregulował już kwestję główną polityki zagranicznej, w której naród okazał mu pełną ufność. Ale po uregulowaniu tej najważniejszej kwestji mogą znaleźć się sprzeczności w traktowaniu spraw bieżących i rząd potrzebuje nowego postanowienia opinii publicznej zapomocą nowych wyborów powszechnych.

W Turcji niema nic nowego, tylko według doniesień gazet plód noszony przez ciało konsularne

wkrótce ma ujrzeć światło dzienne. Obyż nie był poroniony! Tymczasem rzeczy idą dawnym trybem, do szeregu tylko zwykłych niedoli przybyły jeszcze egzekucje podatkowe, spowodowane brakiem gotówki w kasie. Prowadzone są ze zwykłą Turkom delikatnością, która szczególniej Armeńczykom daje się we znaki. Apik effendi, o którego procesie pisaliśmy przed tygodniem, skazany został na 3 lata fortecy.

Książę Bismark, dbający zawsze o dobro prasy, dla której ciągle jeszcze panują ogórkowe czasy, rzucił jej garść rewelacji, które aż do znudzenia komentuje. Chodzi tu o dawne jakoby przymierze między Rosją a Niemcami, mocą którego każde z mocarstw obowiązywało się do neutralności w razie, gdyby drugie zaczepionem zostało. Mało jest to interesujące, chyba o tyle tylko, że może wpłynąć na rozluźnienie się więzów, łączących Niemcy z Austrią, bowiem ks. Bismarck zabezpieczał się w ten sposób, już po przymierzu z Austrią.

Sejm galicyjski zwołany zostanie w końcu Grudnia. Rada Państwa przystępuje do budżetu; pomiędzy rządem, a lewicą niemiecką toczą się rokowania, dotyczące głosowania nad funduszem dyspozycyjnym, względem którego stronnictwo to usposobione jest wrogo. Na Węgrzech rozpoczęły się wybory; jaskrawo oświeśla tamtejsze stosunki partyjne fakt, że na całym pograniczu węgierskiem rozstawiono oddziały wojska, gotowe do wymarszu.

Znany ze zwej podróży po Europie Li-Chung-Czang został mianowany ministrem spraw zagranicznych Chin.

We Francji umarł Challemel Lacour, były minister, ambasador i prezes senatu. System parlamentarny we Francji tyłu ludzi wyrzuca na powierzchnię życia, że nie należy z tych tytułów wnosić o sławie i wybitnem stanowisku zmarłego. Nie przerastał on niczem innych współczesnych mężów stanu we Francji.

wl.

Z RÓŻNYCH STRON.

→ Kartka z dziejów

przemysłu włociańskiego. ←

Ostatnimi czasy zwrócono u nas powszechnie uwagę na drobny przemysł włociański. O ruchu w tym kierunku w prasie warszawskiej bardzo mało się mówi ¹⁾. Spodziewam się więc, że dla czytelników *Głosu* nie będzie obojętną wiadomość o stanie przemysłu garncarskiego w Besarabji.

Przemysł garncarski istnieje w Besarabji od lat 200 przeszło. Pierwsi garncarze rekrutowali się przeważnie ze zbiegłych od pańszczyzny chłopów, którzy uciekali od samowoli swoich podolskich „królewiat” do Besarabji, Niżu, Sieczy zaporońskiej i często dostawali się aż do Stambułu. Z biegiem czasu przybyszów tych zbierało się tu

1) Wkrótce zamieścimy artykuł roztrząsający tę sprawę jako uzupełnienie artykułu, drukowanego w N-rach 4 i 5 r. z. (Red.).

coraz więcej, gdyż znajdowali w wiosce Czini-szencach dobre warunki przyrodnicze, mianowicie ogromne pokłady wybornej gliny. Osada garncarska rozwijała się ciągle i z czasem wyroby jej nie tylko znajdowały chętnych nabywców w Besarabji, ale nawet w gub. Podolskiej i Chersońskiej.

Ostatnimi czasy zwrócono uwagę na tak ważną gałąź przemysłu i spostrzeżono, że przemysł ten rozwija się tylko ilościowo, ale nie jakościowo. Skutkiem znanej włościańskiej rutyny, garnki, dzbanki i miski wyrabiano tej samej formy i w taki sam sposób, jak przed 200 laty.

Żeby złamać ten wrodzony konserwaryzm włościański, ziemstwo założyło szkołę garncarską. Ale włościanie bardzo niechętnie posyłali dzieci do szkoły, sądząc, że syn przy ojcu może nauczyć się prędzej i lepiej, a co ważniejsze, może wcześniej zarabiać. Trzeba przyznać, że w budzie włościańskim istotnie praca 10-letniego chłopca stanowi poważną rubrykę. Otóż ziemstwo, mając to na względzie, zdecydowało wydawać zapomogi rodzicom, którzy posyłają dzieci do szkoły. Środek ten okazał się nader skutecznym. Wpływ szkoły daje się już zauważyć na wyrobach tutejszych, które są ładniejsze i w lepszym gatunku.

Pomimo dodatniego wpływu szkoły, przemysł garncarski od kilku lat zaczął upadać. Statystyka lekarska zanotowała większą liczbę chorób wśród garncarzy, niż u ich sąsiadów-rolników. Dla wyjaśnienia tego zjawiska musimy przyjrzeć się warunkom pracy garncarzy. W wiosce Czini-szencach, gdzie organizuje się ten przemysł, istnieje 184 pieców garncarskich i tyleż rodzin zajmuje się danym przemysłem.

Każda rodzina wyrabia 5 setek naczyń. Setka naczyń, dość oryginalna miara, zawiera w sobie od 300—1000 przedmiotów, stosownie do wielkości. Otóż przyjąwszy normę rocznej produkcji: 5 setek, otrzymamy około 900 setek rocznie. Obliczmy koszt wytworzenia jednej setki: drzewo—12 rs., ołów 4 rs., glina 2 rs. 40 k., miedź 1 rs. 10 k., pobicie 1 rs. Razem 20 rs. 50 kop.

A zatem materiał na wyrobienie jednej setki naczyń kosztuje, nie licząc pracy, 20 r. 50 k., co w produkcji całej wsi przedstawia sumę 18.450 rs. Na targu za setkę naczyń garncarz otrzymuje 40, 60, 70, aż do 80 rubli. Jeżeli weźmiemy średnią cyfrę 500, to okaże się, że po spieniężeniu naczyń, otrzymają 45.000 rub. Straciwszy 18.450 r. za materiał i koszt produkcji, otrzymamy 26.550 rs., tj. sumę, którą co rok powinna dostać osada garncarska, składająca się ze 184 rodzin. W rzeczywistości rachunek ten przedstawia się w innym świetle. Ze 184 garncarzy niema ani jednego, któryby nie był zadłużony.

Mniejsza część (50) ma się stosunkowo lepiej, gdyż pożycza pieniądze na prowadzenie interesu, ale nie zobowiązuje się oddawać ich swoimi wyrobami, po określonej zgóry cenie, lecz oddaje je pieniędzmi plus, naturalnie, lichwiarski procent. Pozostałe 134 rodzin znajduje się w roli

wiecznego najemnika w ręku hurtownych kupców, przeważnie żydów. Zwykle garncarz otrzymuje od miejscowego kapitalisty „awans“ od 20—25 rubli, tj. tylko tyle, ile wynoszą koszty wytworzenia jednej setki naczyń. Obowiązując się zgóry sprzedać hurtownikowi setkę naczyń za 25 r., każdy ze 134 garncarzy traci 125 r. na swoich 5 setkach, co stanowi ogółem 15.750 rs. rocznie. Jeżeli dołączymy do tej sumy 1.250 rub. i procenta pożyczone przez zamożniejszych garncarzy, otrzymamy przeszło 17.000 rocznej straty. Nic też dziwnego, że skrupowany takimi warunkami, przemysł ten nie może rozwijać się należycie.

Oprócz zadłużenia i lichwy, inne jeszcze przyczyny działają nań ujemnie. Zpomiedzy takich na pierwszym miejscu kładziemy przestarzałą technikę i rutynę, w którą ślepo wierzy większość włościan. Naczynia wypalają w takich piecach, jakie przed 200 laty zbudowali pierwsi garncarze. Postępu w wyrobach widzimy niewiele. Od niedawna dopiero zaczęto wyrabiać obok zwyczajnych garnków, mis, dzbanków i inne delikatniejsze wyroby—umywalnie, czajniki, imbryki i inne. Brak maszyn i higienicznego urządzenia fatalnie wpływa na zdrowie garncarzy.

Żeby zrozumieć szkodliwy wpływ tego przemysłu, przyjrzyjmy się warunkom ich pracy. Pierwszym zadaniem jest przywózka gliny, którą składają do jamy, wykopanej w kącie izby mieszkalnej. Oblewają ją potem wodą, celem jej zmiękczenia, a następnie wyjmują z jamy, kładą pośrodku izby i biją drewnianymi młotami, żeby otrzymać jednolitą masę. Z gliny, urobionej w taki sposób, odcinają potrzebnej wielkości kawałki i przystępują do wyrobu potrzebnego przedmiotu. Latem, wilgotne wyroby wynoszą na podwórze, żeby prędzej wyschły, ale w zimie, na wiosnę i w jesieni schną one w chacie na półkach, specjalnie do tego urządzonych. Łatwo sobie wyobrazić, jakie mnóstwo wilgoci zbiera się wskutek tego w chacie. Ściany izby zupełnie są mokre, a całe powietrze przesiąknięte ciężkim, cuchnącym oparem. Nio można się dziwić, że wśród takiej atmosfery reumatyzm, niedokrwiłość, skrofuly i inne choroby są stałymi gośćmi rodziny garncarskiej. Gdy naczynie ulepione wyschnie, trzeba je powlec t. z. polewą, która otrzymuje się z tlenku ołowiu i piasku. Przyrządzenie tej polewy najfatalniej działa na zdrowie pracujących. Dla otrzymania tlenku ołowiu, garncarze kupują ołów metaliczny i topią go na otwartym powietrzu. Ołów paruje i parą tą oddycha cała rodzina garncarska. Otrzymany tlenek ołowiu może być użyty tylko w postaci bardzo subtelnego proszku. Trzeba go więc przesiać. Delikatny pyłek osiada na wszystkich sprzętach domowych, na odzieniu, chlebie i innych produktach spożywczych i systematycznie coraz bardziej zatrzuca słabe, rachityczne organizmy. Przesiany tlenek ołowiu miesza się w pewnym stosunku z wodą i piaskiem, miele się na ręcznych młynkach (żarnach); przy znanem niechędźstwie ludu znowu trafia na odzież i wypełnia wszystkie zakątki izby.

Słowem, rodzina garncarza z każdym dniem coraz więcej zatruwa się ołowiem i, co za tem idzie, następują wszystkie charakterystyczne objawy tego zatrucia, ogólny rozstrój całego organizmu, ostre bóle, zapalenie chroniczne stawów itd. Żeby zagłuszyć ten ból, włościanin chwytą za kieliszek, przyzwyczajają do się niego i w końcu staje się nałogowym pijakiem, niezdolnym zupełnie do pracy. Bardzo rzadko widzimy wśród garncarzy ludzi podeszłych wiekiem, a i ci niechętni w ciężkich chorobach kończą życie. Wobec powyższych faktów ziemstwo musiało rozpatrzyć pytania: 1) Czy przemysł garncarski ma przyszłość przed sobą, 2) W jakich warunkach przemysł ten może kwitnąć i rozwijać się nadal normalnie.

Co do pierwszego pytania, nie może być mowy, że wyroby wiejskich garncarzy należą do kategorii niezbędnie potrzebnych każdemu. Co zaś do środków, które mogłyby podtrzymać ten przemysł i zapewnić mu pomyślny rozwój na przyszłość, to powinny one dzielić się na dwie kategorie. Pierwsze, powinny mieć na względzie materialne polepszenie bytu włościan garncarzy, drugie — zabezpieczenie garncarzy od szkodliwych wpływów ich rzemiosła na (ich) zdrowie.

Stosownie do tego na pierwszym miejscu trzeba postawić organizację taniego kredytu, a następnie rozmaite ulepszenia w technice samego przemysłu. Korzystając z taniego kredytu, garncarz mógłby czekać na lepsze ceny. W obecnej chwili musi brać pieniądze u hurtowników z góry, sprzedawać towar za połowę ceny i, skutkiem tego, tracić rocznie, jak już mówiliśmy, połowę rzeczywistych zysków.

Do środków drugiej kategorii zaliczamy szkołę, któraby nauczyła zastosowywać ulepszone narzędzia. Przy szkole należałoby urządzić maszynę do ubijania gliny, z której za niewielką opłatą mogliby korzystać wszyscy garncarze; tutaj powinien być urządzony jeden duży gromadzki piec do wypalania, a także wszystkie urządzenia do polewania naczyń z zastosowaniem wszelkich ulepszeń, któreby zupełnie uniemożliwiały zatrucie ołowiem. Korzyści takiej zrzeszonej pracy są widoczne. Jedno urządzenie wspólnego pieca dawałoby ogromne zyski, sam opał bowiem dziś do wypalenia setki naczyń kosztuje 12 rs., a przy racjonalnym i postępowym wypalaniu nie powinien kosztować więcej, niż 1 rs. 20 kop. Szkoła garncarska powinna być ogniskiem, dookoła którego grupować się mogą nie tylko umysłowe, ale i ekonomiczne interesy garncarzy. Obecnie należy dodać, że szkoła i bank już egzystują. Wyroby garncarzy sprzedają się w mieście powiatowym przy urzędzie ziemskim (Uprawie) a także w Kiszyniowie; odznaczają się dobrocią, a nawet pewnym smakiem artystycznym. Patrząc na te wyroby, myślałem; na założenie banku potrzeba 2.000 rubli, na urządzenie szkoły dwa razy tyle i to wszystko tak sowiecie się opłaca. Nad Wisłą dosyć jest piasku i gliny, a inteligencji, narzekającej na śmiertelne nudy, chyba także nie brak..

AL. JANISZEWSKI.

Z pow. Świeciańskiego (Kor. „Głos”). Wobec niskiego poziomu, na jakim stoją tutejsze gospodarstwa większe (patrz uprzednią korespondencję), łatwo przewidzieć, że włościańskie będą nie w lepszym stanie. Jeżeli pretendująca do wyższej inteligencji własność większa tak się opiera wymaganiom czasu, jak wół na rzeź prowadzony swemu przewodnikowi, to w jaki sposób kmiotek litewski, doniedawna od świata puszcami odgradzony, teraz znowu wydmami piaszczystymi, zawsze zaś ciemnotą, przesadami, może w swej gospodarce podążać za postępem? Nie dając zaraz na to odpowiedzi, powiem tylko, iż dwór dzisiejszy, który niewiele mniej od chaty jest zacofany, z pewnością nie pchnie jej na drogę ulepszeń. Nie znajdując tedy nigdzie dobrego przykładu, pozostawiony własnej domyślności i od wieków weń wpojonej rutynie, opęda się włościanin tutejszy, jak może, nędzy, do której go doprowadza coraz większe rozdrabnianie gruntów i zniżka cen na produkty rolne. Niejeden już mieszkaniec wioski, usiłujący się przy swym kawałku gruntu utrzymać, gdy ciągle pasowanie się z półgłodem ani na jotę nie polepszy losu jego i jego rodziny, instynktem zaczyna odczuwać, że coś snąć się zepsuło w tym odwiecznym sposobie gospodarowania, jeżeli ziemia, dotąd karmicielką, zaczyna go traktować pomacoszemu. Ale niema nikogo, kto by chciał i umiał wskazać na złe, dać mu światłą radę. Do śmierci więc przymiera głodem i drze sochą swój zagon, ciągnący się w postaci „sznura” pasem przez całą długość każdego z 3-ch pól wioski. „Sznury” zaś te z każdym nowym pokoleniem stają się coraz węższe. Nadto, wobec taniego podziału gruntów, pasanie inwentarza na swoim zgoła jest niemożliwe; lecz tutaj, jak mówi W. Wojciechowski w swym artykule: „Ekonomiczny stan wiosek i ich przyszłość” (patrz „Ate-neum,” zeszyt lipcowy) „pomógł instynkt współnictwa, wskutek czego pasanie się odbywa, bez różnicy właściciela, na całej przestrzeni gruntów wioski.” Takie pasanie tym większe posiada dla włościanina znaczenie, że nadane mu w lesie dworskim pastwisko, w większej części pokryte igłami jodeł i sosen, mchem i wrzosem porośłe, niewiele często karmu dla bydła dostarczają. Do pasania koni zwykle się przeznacza t. zw. „wygodnia,” obejmująca część łąk wspólnych, w pobliżu wsi położonych. Ten atoli przymus współnictwa, — jak słusznie też p. Wojciechowski zauważył, — dający możność biedniejszemu chłopowi trzymać tyleż bydła w lecie, ile go utrzymuje bogaty, posiada swoją ujemną stronę, szczególnie dla tych niewielu, którzy chcieliby wprowadzać ulepszenia, np. w postaci łubinu oraz traw pastewnych, do swej gospodarki. Posiane oziminną, bądź jarem zbożem, po zebraniu plonów, dzięki wspólnemu pasaniu po ścierniskach, musiałyby być spasione. Współnictwo więc w tym wypadku sprzyja zastojowi w gospodarstwie włościańskim, bo tamuje działalność postępową dzielniejszych jednostek. Ta zaś mogłaby być wstępem do takiejże pracy zrzeszonej. Gospodarz większy schodzi na małorolnego, a ten, jeżeli nie pozbywa się nawet gruntu, staje się wychodzącą i przez pewną część roku wyrobnikiem. Wychodźstwo następnie daje ujście uadmiarowi ludności z jednej strony, z drugiej zaś podnosi znacznie skalę jej potrzeb. Na wychodźstwie bowiem włoś-

cianin tutejszy, otrzymując płacę większą, zapoznaje się z lepszym bytem wogóle i odżywianiem się w szczególności. Po powrocie do rodzinnej wioski, jego już raz chleb z plewami na przednówku, szara siermięga i koszula zgrzebna, nie mówiąc już o łapciach z kory lipowej. Te ostatnie wkrótce przejdą do historii; nosi je bowiem tylko starsze, pamiętające czasy pańszczyzniane pokolenie i to gwoździ tradycji. Wychodźca taki już nie da się ponownie zaprząć do sochy i nie pójdzie na służbę do dworu, bo mu się ona o wiele gorzej opłaca. Ten, kto choć raz zakosztował życia w mieście, a tembardziej w stolicy, czuje już ciągle pociąg nieprzeparty do wędrówek po zarobki większe i większy dobrobyt. Nie dość tego, — jego opowiadania o powabach miasta, jego buty długie aż za kolana, wysuwakowane, strój czarny, a niekiedy nawet zegarek, oraz kpiny z zacofanych współmieszkańców, budzą zazdrość i pożądanie nieznanych wygod i rozkoszy w duszy zabiedzonego chłopca, który mięso w czasie uroczystości większych religijnych lub rodzinnych, a cukier li tylko w chorobie dostaje. Z każdą więc wiosną pomnażają się szeregi wychodźców, a przez to samo zmniejsza się ilość pozostałych w kraju rąk robotniczych. Brak zaś robotnika zniewala większych właścicieli do zaprowadzania ulepszonych narzędzi rolniczych. W tym właśnie tkwi przyczyna, że postęp powoli, skradając się, wkracza na grunta nawet litewskiego szlachcica. Ale też u chłopca zdarzają się zrzadka przebłyki samowiedzy i przedsiębiorczości. Co rok daje się słyszeć o zawiązywaniu się spółek gospodarzy zamożniejszych do parcelowania nabytych za pośrednictwem banku włościańskiego majątków.

J. Czaplíc.

Płoskirów (Kor. „Głosu“). Nie zdążyłem dotąd donieść wam, jak zakończyły się obrady naszego zjazdu rolniczego. W dalszym ciągu p. Trubłajewicz, biorący najgorętszy udział w obradach zjazdu, pierwszy zakomunikował o rezultacie narad komisji szkolnej. Komisja ta orzekła, że jakkolwiek byłoby pożądanem urządzenie nie jednej, ale kilku niższych szkół rolniczych dla włościan w gub. Podolskiej, zjazd jednak sam przez się, nie będąc jednostką prawną, nie ma możliwości zarządzania stosownych środków. Natomiast przekazuje przyszłemu Towarzystwu Rolniczemu zajęcie się tą sprawą z tym warunkiem, aby opiekunem i kuratorem wymienionych szkół był prezes przyszłego Towarzystwa Rolniczego Podolskiego i aby owe szkoły zawsze zostawały pod kontrolą tego Towarzystwa. Postanowiono przytem przyjąć ustawę normalna ministerjum Rolnictwa dla szkół rolniczych z pewnemi zmianami, zastosowanemi do miejscowych potrzeb. W trakcie dyskusji wynikła kwestja o przyjmowanie do tych szkół żydów. Kilku członków usiłowało pod rozmaitemi pozorami pozbawić żydów prawa wstępu do tych szkół. Gorąco popierał tych panów p. Rewa. Kwestja zdecydowaną została w tym duchu, że nie należy robić żadnych wyjątków. Po ukończeniu wzmiankowanej sprawy, tenże p. Rewa odczytał ustawę przyszłego Towarzystwa Rolniczego na Podolu na podstawie ustawy, sporządzonej przez ministerjum Rolnictwa. Ponieważ ta ostatnia rzeczywiście nadaje Towarzystwom Rolniczym dość obszerne prawa, przyjęto ją

przez aklamację. Ostatecznie zjazd zakończył się tradycyjnym obiadem składkowym w miejskim ogrodzie.

A. M.

Z zagranicy.

Kraków (kor. „Głosu“). W znacznej liczbie powiatów zachodnio-galicyjskich odbyły się w ubiegłym tygodniu wybory do rad powiatowych z urji gmin wiejskich. Dawniejszemi laty nie zwracały one wielkiej uwagi. Oslawiona kielbasa i wódka sprawiały, że nawet z kurji chłopskiej wychodzili przeważnie „panowie”, lud zresztą nie przywiązywał do gospodarki powiatowej głębszego znaczenia, ani zbyt wysoko nie cenił sobie zaszczytu zasiadania w „radzie” powiatu. Zmieniły się pojęcia i aspiracje ludu wiejskiego dopiero w ostatnich czasach, głównie pod wpływem zeszłorocznych wyborów sejmowych. Zachęcone powodzeniem, stronnictwo ludowe nie ustało w pracy, przeciwnie, przystąpiło natychmiast do organizowania kampanji powiatowej, pragnąc zapewnić włościaństwu w składzie „rad” udział taki, jaki mu w zasadzie przyznaje ustawa. Gorączkowa agitacja, od kilku miesięcy bezustannie prowadzona, zwróciła tymczasem niezwykłą na te wybory uwagę i budziła powszechną ciekawość, jak one wypadną. Pokazało się, że akcja była skuteczną. O ile dotąd wiadomo, w dziesięciu powiatach, mianowicie w krakowskim, wadowickim, myślenickim, bocheńskim, grybowskim, mieleckim, ropczyckim, krośnieńskim, skałackim i dąbrowskim listy „ludowców” zupełnie zwyciężyły, w niektórych przeszły jednogłośnie, ku wielkiemu zdumieniu przeciwników, którzy acz na ożywioną walkę przygotowani, takiego jednak nie spodziewali się wyniku. W krakowskim, krośnieńskim, skałackim, myślenickim i mieleckim wybrano delegatami powiatowemi samych chłopów; w innych okręgach powychodzili obok włościan także kandydaci z inteligencji i więksi właściciele, zdecydowani zwolennicy ruchu ludowego i jako tacy na listę ludową przyjęci. Zbyteczna dodawać, że wybrani zostali do rad powiatowych przedewszystkiem chłopcy posłowie sejmowi: Bojko, Średniowski, Wójcik, Krempa. Lud odniósł więc świetne zwycięstwo, które uważać może za pomyślną dla siebie wróżbę ze względu na niedawne wybory do rady państwa. Władze rządowe zachowały się tym razem na ogół przyzwoicie i taktownie, — zawdzięczać to należy prawdopodobnie znanemu wystąpieniu d-ra Lewakowskiego w parlamencie. Niewiadomo jeszcze, jaki wynik dadzą wybory do rad powiatowych z dwóch innych kurji, mianowicie większej własności, która wybiera mniej więcej tyłu członków, co chłopci, i miejskiej, która wprowadzie niewielką liczbą mandatów rozporządza, ale właśnie dla tego odgrywać może ważną rolę „języczka uwagi” tam, gdzie interesy właścicieli ziemskich i ludu staną w sprzeczności z sobą. Wobec tego, że ruch ludowy zdobywa i w miastach coraz większą sympatję, nie jest wykluczoną ewentualnością, że włościanie w poszczególnych radach powiatowych mieć będą faktyczną i decydującą przewagę. Za tydzień (30 b. m.) wybierać będziemy w Krakowie czwartego posła do sejmu. Zdaje się, że najjaśniej widzący polityk nie mógłby w tej chwili przepowiedzieć, kto z mnóstwa „powołanych” zostanie wybrany, taka nastąpiła hiperprodukcja kan-

dydatów. „Stronnictwa” nasze — sit venia verbo — rozpoczęły już akcję pokątną; żydzi, czynnik zwykły u nas przy wyborach rozstrzygający, nie przechylił się jeszcze wyraźnie na żadną stronę. Nastąpi to prawdopodobnie w ostatniej dopiero chwili. Grono młodych prawników założyło w Krakowie biuro bezpłatnej pomocy prawnej w kierunku politycznym, administracyjnym i skarbowym. Biuro to zastrzega się, że procesów żadnych przyjmować nie będzie, co najwyżej może rozpatrzyć sprawę i wskazać drogę obrony, względnie nakłaniać do zgody, — natomiast obowiązuje się bronić każdego, komukolwiek stanie się krzywda ze strony władzy lub funkcjonariuszów rządowych i autonomicznych. Pożądaną tej instytucji życzyć należy rozwoju i powodzenia, jakim cieszą się podobne biura, istniejące już od pewnego czasu we Lwowie i w Tarnowie, a rozwijające ze wszech miar pożyteczną działalność.

Zawisza.

Lwów (Kor. Głosu) Do tego, co pisałem o budżecie austriackim na r. 1897 i o uwzględnieniu w nim Galicji, chcę dodać się jeszcze kilka słów, mianowicie zanotować kilka bardziej interesujących pozycji. Kraków, dostaje wedle preliminarza budżetowego, 280.000 złr. na budowę gimnazjum i tyleż na kliniki lekarskie, a nadto 200.000 złr. na budowę budynków rządowych; na budowę koszar w Galicji przeznaczają rząd dwa miliony złr.; projektuje dalej połączenie telefoniczne między Lwowem a Wiedniem za sumę 400.000 złr., a na budowę nowych torów kolejowych w Galicji żąda 4,806.790 złr., na przebudowę zaś kilka dworców kolejowych 250.000 złr. — Dziś właśnie rozpoczęło obrady swoje 22-gie walne zgromadzenie delegatów „Związku stowarzyszeń zarobkowych i gospodarczych.” Ze sprawozdania wydziału Związku wyjmuję cyfr. kilka. Związek obejmuje 153 stowarzyszeń z 140.079 członków tj. 35% zaledwie ogólnej ilości stowarzyszeń galicyjskich, lecz stanowiących 60% ogółu członków wszystkich stowarzyszeń. Stowarzyszenia należące do związku mają zupełną autonomję, a łącznikiem między nimi jest, jak słusznie robi uwagę jedno z pism tutejszych, ich obywatelski charakter. Stan czynny kredytowych stowarzyszeń związkowych w okresie objętych sprawozdaniem wynosił 20.070.251 złr., t. zn. niemal połowę stanu czynnego ogółu tow. takich w kraju, ogólny bowiem stan czynny jest: 42.767.631 złr. 64ct. Liczba tow., które należą do związku, powiększyła się o 18, przeciętnie zaś w ostatnich dziesięciu latach wzrastała ona o 4 1/2% na rok. Utrudnienia formalnościowe ze strony namiestnictwa i prokuratorji skarbu oraz rozwój nie należących do związku żydowskich najczęściej i posługujących się w stosunkach wewnętrznych językiem niemieckim stowarzyszeń kredytowych, których statuty bywają często ze szkodą społeczeństwa parawanem najniesumienniejszego lichwiarstwa, oto zapory, które tamowały do pewnego stopnia rozwój związku. Wobec stosunkowo mało rozwiniętego u nas jeszcze zmysłu samopomocy, związek pracował także w zakresie szerzenia idei stowarzyszeń zarobkowych i gospodarczych. Stało się to przede wszystkim przez udział członków związku w ankiecie dla reformy ustawy o stowarzyszeniach zarobkowych, zwołanej przez ministra sprawiedliwości Gleispacha, a dalej przez stosunek

informacyjny, jaki związek zajął wobec Wydziału krajowego, któremu sejm polecił zakładanie za inicjatywą Rad powiatowych — tow. zaliczkowych i kas oszczędności, otwierając na pierwsze ich urządzenie ryczałtowy kredyt w kwocie 10,000 złr. Aby towarzystwom dostarczyć zdolnych funkcjonariuszy, urządził wydział związku (wobec braku szkół handlowych w kraju) odpowiedni kurs fachowy, a sekretarz związku, p. N. Ulmer, wraz z buchalterem, p. J. Nawrockim, wydali „Podręcznik dla stowarzyszeń udziałowych”, dzieło fachowe, przeznaczone dla tych, którzy się zajmują stowarzyszeniami kredytowymi, handlowymi, wytwórczymi, spożywczymi itp. Obrady zgromadzenia związku dopiero zaczęte, w następnym więc liście podam o nich bliższe szczegóły ¹⁾. — Wybory do sejmiku ze Lwowa są już kwestją najbliższej przyszłości, d. 30 bowiem b. m. staną wyborcy przy urnie. Dotąd mamy kandydatury Soleskiego, Rewakowicza, prof. prawa cywilnego w uniw. p. Balasitsa, lekarza (głównego ginekologa) d-ra Czyżewicza, prezydenta Małachowskiego i mieszczanina Ciuchcińskiego. O dwóch pierwszych pisałem już, że zaś o mandat ubiega się p. Czyżewicz, kandydat przepadły przy wyborach głównych w jednym z miejskich okręgów, rzecz to zrozumiała, w sejmie bowiem czuć się daje brak specjalisty w sprawach sanitarnych, nie byłby więc zbyt nabytek powagi lekarskiej. P. Balisits, to profesor z nienajgłośniejszych i nienajwybitniejszych. Niedawno usunął się od kandydowania w Tarnopolu, aby zrobić miejsce ministrowi Rittnerowi, raz już gdzieś był przepadł i wogóle człowiek, który nabytkiem dodatnim w sejmie nie będzie wcale, tembardziej, że w sejmie brak ludzi rzeczywiście śmiałych, energicznych i niezależnych. Prof. Balasitsa o zalety te podejrzewać trudno. — Wybory do rad powiatowych w kilku okręgach w Galicji zachodniej skończyły się walnem zwycięstwem stronnictwa ludowego, obecnie zaś toczy się walka o mandat do sejmiku z okręgu sanockiego, gdzie znów rozdwojenie między szlachtą może być wodą na młyn ludowców.

J. A. S.

Poznań (kor. „Głosu”). Akcjonariuszom Banku ziemskiego, których doroczne walne zgromadzenie odbyło się 13 b.m., przedłożono dość pomyślnie stosunkowo sprawozdanie za rok z dniem 30 czerwca ubiegłego. Przedewszystkiem, jak wiadomo, pocieszący wynik dała druga emisja 800 akcji, za pomocą której kapitał Banku podniósł się do sumy dwóch milionów marek. Co prawda, z początku szło jak z kamienia. W pierwotnym terminie (do końca grudnia 1895) emisja nie doszła do skutku, musiano przedłużyć ją jeszcze na sześć dalszych miesięcy. W nowej tej fazie atoli zapisy tak szybko postępowały, że już z początkiem czerwca b. r. tymczasowe obliczenie wykazało znaczną przewyżkę deklaracji ponad liczbę 800 akcji. Wobec tak niespodziewanie pożądanego obrotu, subskrypcję zamknięto 13 czerwca, a rezultat był taki, że 1096 akcji podpisało ogółem 561 osób, z których wszakże tylko 381 na 800 akcji z łączną kwotą 462,290 marek do obecnej emisji wejść mogło. Wpłaty na resztę 296 akcji wyniosły wraz z procentami 67,000 marek. Wielu

¹⁾ O poprzednim zgromadzeniu związku ob. *Głos R.* X. str. 69 (koresp. Zawiszy z Krakowa).

subskrybentów, nie obdzielonych tymczasem akcjami, pozostawiło Bankowi wpłacone kwoty na lokacji procentowej (4⁰/₀) do ewentualnej nowej emisji, która niewątpliwie nastąpi z chwilą, gdy poprzednia będzie całkowicie wpłaconą, — wcześniejszej emisji zabrania niemieckie prawo akcyjne. Bądź co bądź operacja się powiodła i w czasie właściwym niewątpliwie będzie powtórzoną, wymagając tego nie tylko względnie konkurencyjne z dziesięciomilionowym Landbankiem, ale i parcelacyjna działalność naszego Banku, która w ostatnich czasach skutkiem rozmyślnie stawianych trudności znacznie zwolniła, a obecnie żwawo powinna rozwinąć się i postąpić naprzód. Kłopoty wywołane niedojściem drugiej emisji w terminie pierwotnie wyznaczonym sprawiły, że w ostatnim roku Bank ziemski rozparcelował ogółem zaledwie 864 hektarów. Następnie atoli, widząc powodzenie emisji zapewnione, dyrekcja podjęła kilka nowych większych interesów, tak że z dniem 30 czerwca, nie licząc tego, co załatwiały spółki ziemskie oddzielnie, miał już Bank do rozkolonizowania obszar wynoszący z górą dwa tysiące hektarów, a cyfra ta ciągle idzie w górę. „Wszelkie przeciwności, — czytamy w sprawozdaniu dyrekcji, — nie powstrzymają u nas ruchu kolonizacyjnego, który jest objawem naturalnym, pod naciskiem potrzeb społecznych i ekonomicznego położenia rolnictwa, a rozwijać się musi z elementarną siłą logiki socjalnej. Nieprzychylnie mu prądy, jeżeli nie będą nań działać wprost podniecająco, to w każdym razie przysporzą Bankowi ziemskiemu i pracy i znaczenia, jako jedynej u nas instytucji poważnej, której pomoc staje się tem niezbędniejszą, im większe są przeszkody. Znajdą się zawsze sposoby zwalczania ich i utorowania odpowiednich dróg, któremi postępować będzie ludność wiejska do zaspokojenia swoich potrzeb społecznych. Niewątpliwie ona sama wytworzy czasem pomocnicze do tego zasoby finansowe i znajdzie odpowiednie środki organizacyjne, których zarodków trudno nie dopatrzeć się w naszych kasach zaliczkowych, ale nastąpi to tem prędzej i pewniej, im energiczniej Bank ziemski będzie mógł popierać dzisiejsze dążenie ludności bezrolnej do osiedlania się na własnym kawałku ziemi.“ — Warto jeszcze przytoczyć parę szczegółów ze sprawozdania rachunkowego. Ogólny obszar gruntów, rozkolonizowanych przez Bank od chwili jego założenia, obejmuje dziś blisko 12,000 hektarów i liczy 1,073 osadników, którzy przy szacunku 7¹/₂ miliona marek, wpłacili półtrzecia miliona gotówką. W dniu 30 czerwca b. r. stan kapitałów bankowych wykazywał 1,300,000 marek ulokowanych w bieżących interesach parcelacyjnych, 476,000 m. w hypotekach, a 375,000 w papierach procentowych. Rezerwy Banku wzrosły do cyfry 62,000 marek. Dywidenda za rok ubiegły, mimo zmniejszonego ruchu parcelacyjnego, nie uległa niżeniu, wynosi jak dawniej 4⁰/₀, zyski bowiem z procentów i prowizji dały ogółem 98,000 marek, więc wynik, co najmniej, normalny. — Jak z wyżej podanego ustępu widzimy, parcelacja gruntów i kolonizowanie ich ludnością włościańską, ma być i nadal główną wytyczną w działalności Banku. Program ten staje się z każdym dniem żywotniejszym, w miarę jak większa własność ziemska niestety coraz to bardziej z rąk nam się usuwa. Do szeregu strat daw-

niejszych świeżo przybyła nowa, bardzo dotkliwa. Oto w posiadanie niemieckiej komisji kolonizacyjnej przeszły temi dniami w powiecie Świeckim, w Prusach Zachodnich, dobra rycerskie Topólno, obejmujące około 4,000 morgów. Piękny ten szmat ziemi od 130 lat pozostawał w rękach rodziny Piottuch-Kublickich. Komisja dała zań 480,000 marek. Strata to dla nas tem cięższa, że powiatowi Świeckiemu i tak już grozi poważny zalew giermanizacyjny. Oprócz Topólna, komisja kolonizacyjna zakupiła tam już dawniej: Zbrachlin 1700 morgów, własność Różyckich, Bukowice 9000 morgów po hr. Czapskich, Pniewno 1,900 morgów, niegdyś do Płacheckich należące, a sprzedane komisji przez ostatnią dziedziczkę Radziejowską, żydówkę z Poznania, i Julianowo 1,200 m., dawniej z Pniewnem związane. Z większych posiadłości ziemskich powiatu Świeckiego znajdują się w ręku polskim już tylko Belno p. Parczewskiego, Lipienki p. Sas Jaworskiego i Rowienica p. Wilkansa. W całym powiecie jest dóbr większych i mniejszych, mających samorząd, 80, a więc 77 dzierżą już Niemcy.

M. T.

Racibórz, na Górnym Szląsku. (Kor. „Głosu”). Obwód Raciborski leży już na kresach etnograficznego obszaru polskiego i posiada ludność mieszaną. Ze stu trzydziestu tysięcy mieszkańców tego obwodu zaledwie 42⁰/₀ zalicza się do narodowości polskiej; reszta to Morawianie i Niemcy. W Raciborskiem, jak zresztą i wszędzie na Szląsku pruskim, do polskości poczuwają się jedynie warstwy ludowe: chłop i robotnicy. Wielcy posiadacze ziemscy zniemczyli się oddawna; mieszczaństwo, zwłaszcza zamożniejsze, uważa się za Niemców, aczkolwiek umie i po polsku, ponieważ inaczejby nie mogło prowadzić żadnych interesów. Sam Racibórz — ładne, czyste, liczące przeszło 20,000 mieszkańców miasto, ma charakter zupełnie niemiecki, pomimo że co krok można napotkać szyldy z nazwiskami polskimi. Zresztą na przedmieściach żywił polski reprezentowany jest bardzo licznie, a mowa polska brzmi tu ciągle. Zresztą po polsku można się w Raciborzu rozmówić prawie z każdym. Inteligencji polskiej w Raciborzu prawie niema, a ta nadzwyczaj nieliczna garstka ludzi, która ją reprezentuje, stanowi żywioł nader niepewny. Wszyscy, z wyjątkiem jednego (d-ra Rostka, założyciela „Nowin Raciborskich”), inteligencji raciborscy są żonaci z Niemkami, a dzieci ich ulegają giermanizacji. Obecny redaktorem i wydawcą jednego tutaj organu polskiego — „Nowin Raciborskich” — jest poznańczyk, p. Eckert. „Nowiny” rozchodzą się w 2000 przeszło egzemplarzach wśród chłopów, rzemieślników i robotników polskich, a byt tego organu jest zapewniony. Podczas wyborów ilość prenumeratorów „Nowin” wzrasta znacznie, ponieważ ruch przedwyborczy ogromnie powiększa zapotrzebowanie. „Nowiny” forytują własnych polskich kandydatów, którzyby mogli skuteczniej bronić interesów ludu polskiego, aniżeli posłowie niemieccy, należący do centrum. „Nowiny” są organem nader umiarkowanym, broniącym „wiary i narodowości” i kierującym się zasadami oportunistycznymi względem panującego na Szląsku centrum katolickiego. Redaktor „Nowin” jest równocześnie prezesem „Górnoszląsko-polskiego stowarzy-

szenia" w Raciborzu. które w swych rękach trzyma kierownictwo sprawami publicznymi, ogół ludności polskiej w Raciborskiem obchodzącami. — W Raciborzu do niedawna wychodził „Kurjer Górnośląski”, organ centrum niemieckiego, założony wówczas, kiedy wśród ludności polskiej w Raciborskiem zaczął się budzić ruch samodzielny, dążący do wyemancypowania się z pod przewagi niemieckiego kierownictwa centrum. Pismo to jednak upadło, nie znalazłszy poparcia u mas. Podobny charakter mają „Nowiny katolickie”, wydawane po czesku dla Morawian raciborskich, którzy przedstawiają żywioł całkiem bierny, podczas wyborów idący z Niemcami. Ruch narodowy w Raciborskiem stale się wzmacnia. Ostatniemi czasy rozwinął się wcale pomyślnie teatr amatorski. Robotnicy i dziewczęta wiejskie, występujący na scenie, zupełnie dobrze wywiązują się ze swego zadania.

L. W.

KRONIKA POWSZECHNA.

Projekty i rozporządzenia rządowe. Opracowany przed kilku laty projekt przepisów o dostawach rządowych, ma być obecnie uzupełniony przez specjalnie wyznaczoną komisję ze strony ministerjum komunikacji. — W ziemie złożony zostanie Radzie państwa do rozpatrzenia projekt nowego prawa o przyjmowaniu poddaństwa rosyjskiego. — „Birż. Wied.” donoszą, że w roku przyszłym postanowiono wybić monety złotej za 100.000.000 rub., a za 26.000.000 rubli monety srebrnej. W Birmingham prócz tego obstalowano za 800.000 rubli monety miedzianej. — „Nowosti” donoszą, iż w ministerjum spraw wewnętrznych opracowano projekt pomocy ze strony skarbu czynszownikom miejskim w kraju zachodnim w celu wykupienia dzierżawionych gruntów. — Komisje powiatowe do jednodniowego spisu ludności rozpoczęły już swoje czynności w powiatach gub. Lubelskiej i Warszawskiej.

Szkoły i oświata. Nastąpiło otwarcie nowej trzyklasowej szkoły rzemiosł, założonej przez p. Hanzena. W r. b. otwarte będą dwa oddziały. Dotąd zapisało się do nowej szkoły 24 kandydatów. — Prezydent miasta Kijowa zwrócił się do miejscowego Towarzystwa rolniczego z projektem założenia w Kijowie wyższej lub średniej szkoły rolniczej. — Na mocy nowej ustawy politechniki w Rydze, profesorami mogą być mianowane tylko osoby, posiadające wyższy stopień naukowy. Ponieważ niektórzy z pośród obecnych profesorów nie czynią zadość temu warunkowi, przeto, jak donoszą dzienniki rosyjskie, tymczasowo nie zostali zatwierdzeni na swych posadach. Wśród profesorów tej kategorii znajduje się teraźniejszy dyrektor politechniki, który jest obecnie tylko „pełniącym obowiązki.” — Katedry hydroterapii utworzone być mają we wszystkich uniwersytetach austriackich.

Koleje żelazne i komunikacje. W departamencie do spraw kolejowych przystąpiono do rozpatrzenia projektu taryfy w komunikacji warszawsko-niemieckiej. — „Warsz. Dniew.” donosi, iż ministerjum komunikacji postanowiło urządzić na wszystkich główniejszych

stacjach kolei skarbowych czytelnie dla niższej służby kolejowej. — W d. 27 b. m. otwarty będzie regularny ruch pasażerski na zachodnio-syberyjskiej drodze żelaznej od Czelabińska do Obi, na przestrzeni 1.323 wiorst. Drogę powyższą pociągi przebywać będą w 51 godzinę, z przeciętną szybkością 26 wiorst na godzinę. Podróż z Moskwy do Omska kosztować ma w I-ej klasie 40 rs., w drugiej 24 rs. — Budowa kolei z Ostrołęki do Piławy została już zupełnie ukończona. — Powstał projekt budowy kolei podjazdowej od stacji Jastrzab przez Szydłowice do Przysuchy. — Projekt budowy kolei podjazdowej od przystanku Będzin kolei Wiedeńskiej do kopalni węgla p. Rona „Mikołaj” i „Antoni” został przez władze wyższe zatwierdzony. — Grupa przemysłowców łódzkich otrzymała już koncesję na budowę linii tramwajowej w Łodzi. Roboty rozpoczęte zostaną na wiosnę 1897 r. — W r. z. w państwie Rosyjskiem funkcjonowało 43 sieci rządowych telefonów. Miały one 6,111 abonentów a długość drutów wynosiła 13.896 wiorst. Prywatnych sieci telefonicznych było 11 z 9.007 aparatami i 18.786 wiorstami drutów. — Grono mieszkańców Radomia występuje do władzy z prośbą o pozwolenie zaprowadzenia telefonów w tem mieście.

Kronika społeczna. Według ostatnich sprawozdań: urzędowych, ludność gub. Wileńskiej w dniu 1-ym stycznia r. b. wynosiła 1.594.809 osób, w tej liczbie 788.377 mężczyzn i 806.432 kobiet; przyrost uczynił 28.939. Małżeństw zawarto 15.237. Ludność gub. Wileńskiej składa się: z 393.281 prawosławnych, 140.414 katolików i 239.053 żydów. — W gub. Kieleckiej istnieje sześć szpitali cywilnych, a mianowicie w Kielcach św. Aleksandra na 50 łózek, w Olkuszu św. Błażeja na 36 łózek, w Miechowie św. Anny, w Stopnicy św. Kazimierza na 26 łózek, w Busku sezonowy św. Mikołaja na 32 łózka, w Solcu sezonowy św. Edwarda na 16 łózek. — Pod opieką warszawskiego Towarzystwa dobroczynności znajdują się obecnie 33 ochrony, do których uczęszcza 3.641 dzieci. — Komisja wystawowa, wybrana z łona Towarzystwa wyścigów konnych, ustanowiła czas trwania przyszłorocznej wystawy rolniczej na cztery tygodnie od niedzieli d. 30 maja do niedzieli d. 27 czerwca, oraz obrała pod urządzenie wystawy plac b. wystawy hygienicznej. — Projekt „Towarzystwa szybkiej pomocy lekarskiej w Warszawie” został przez ministerjum spraw wewnętrznych przyjęty przychylnie i wkrótce zostanie przedstawiony do zatwierdzenia komitetowi ministrów. Ustawa Towarzystwa muzycznego w Wieluniu została przez ministerjum spraw wewnętrznych zatwierdzona. — Sekcja chemiczna W. o. T. p. r. p. i h. odbyła w sobotę posiedzenie, na którym przedstawione były referaty: dr. A. Fabiana i dr. L. Nenckiego — „O wyrobie win szampańskich” i dr. Stefana Beniego — „O otrzymywaniu mączki z kartofli przez fermentację. — Sekcja techniczna W. o. T. p. r. p. i h. na posiedzeniu we wtorek 27-go b. m. wysłuchała referatu inż. Kazimierza Obrębowicza p. t. „Kilka zagadnień z mechaniki wszechświata.” — Tow. dobroczynności w Piotrkowie zamierza w Wielkim poście urządzić kilka odczytów.

Nekrologja Napieralska Marja (Simara), młoda nowelistka, zmarła w Warszawie. — Skrodzki Eugenjusz (Wielisław), literat, zmarł w Radomiu w wieku lat 75.

KRONIKA EKONOMICZNA.

Od 1 Lipca r. b. w całych Niemczech poczęło obowiązywać nowe prawo, mające ochronić świat kupiecki i przemysłowy od nieuczciwej konkurencji (unlauter Wettbewerb). Nowe prawo dotyczy głównie trzech przejawów współzawodnictwa, powszechnie nieomal praktykowanych: 1) kłamliwe szerzenie wiadomości za pomocą drukowanych cyrkularzy w celu uwydatnienia swojej firmy podlega karze pieniężnej do wysokości 1.500 marek lub półrocznemu więzieniu. Należy więc tutaj podciągnąć: głośnie reklamowanie „wyjątkowej” dobroci towaru, „wyjątkowej” jego tanioci, „niezwykłego” rozpowszechnienia, zamieszczanie fałszywych zaświadczeń kupujących z wyrazami uznania etc. etc. 2) kłamliwe szerzenie wiadomości, dotyczące firm współzawodniczących podlega karze pieniężnej do wysokości 1.500 marek lub rocznemu więzieniu. Tutaj należy także korzystanie z reklam firm współzawodniczących, podciąganie się pod znane nazwiska, szkodenie na kredycie itd. 3) Pracujący w przedsiębiorstwie (najmity, uczeń lub urzędnik) za wydawanie tajemnic firmy współzawodniczącej w celu szkodenia swemu pryncypałowi, podlega karze pieniężnej do wysokości 3.000 marek albo rocznemu więzieniu. Osobom zaś, namawiającym do wydawania tajemnic, grozi kara 2.000 marek lub 9 miesięcy więzienia. Termin przedawnienia, po którym skargi na przestępstwa, objęte nowym prawem, nie będą uwzględniane, wyznaczono trzy lata. Doświadczenie kilku lat okaże, czy nowe prawo okaże się zdolnem ukrocić tak liczne wykroczenia przeciwko ślizkiej etyce kupieckiej. Szerszego znaczenia mieć ono nie może. Nikt bowiem nie jest w stanie zapobiec „rzetelnej” konkurencji wielkiego kapitału, stokroć niebezpieczniejszego dla małego przedsiębiorstwa, niż dowcip reklamowany, „nierzetelny” drobnego aferzysty. Wszelkie wysiłki „nieuczciwych konkurentów” błędą wobec kroci tysięcy marek, rzucanych na wszechświatową reklamę przeróżnych Wasmuth'ów, a giną zupełnie wobec pysznych przyjęć królewskich, urządzanych przez Kruppa dla chińskiego dostojnika.

— W Radomiu odbyło się zebranie celem zawiązania spółki mięsnej. Projekt przedstawił na zebraniu dr. Jan Przychodzki. Spółka ma sprowadzać rocznie 600 wołów, co do których dostawy przedstawili oferty pp. Kuźnicki z Mircz i Wodziński z Suchej. Mięso w trzech gatunkach sprzedawane będzie po cenie od 8 do 12 kop. za funt. Udział wynosi 100 rs., potrzebny zaś jest kapitał 5.000 rs. Wydatki instalacyjne wyniosą 2.600 rs., reszta będzie użyta na kapitał obrotowy. Na mocy kon-

traktu, opracowanego przez adw. Bilnickiego, interesa spółki prowadzić będą trzej wspólnicy, którzy pobierać będą wynagrodzenie po 500, 300 i 200 rs. rocznie, a nadto 25% czystego zysku. Uczestnicy odpowiadają majątkowo jedynie do wysokości udziału tj. 100 rs. Wszakże umowy, jak również zobowiązania oraz podanie do władzy o zatwierdzenie spółki, winny być podpisane przez trzech członków zarządzających. Udziałów nie wolno zbywać osobom, do spółki nie należącym. Zysk czysty dzielony będzie odpowiednio do sumy wkładów. Spółkę zawiązano na lat trzy.

— W Łodzi powstaje nowa instytucja finansowa pod nazwą banku kupieckiego. Założycielami są: pp. Leopold Landau, Rudolf Kindler, Juliusz Heinzel i bracia Geyer. Kapitał zakładowy banku wynosi 2 mil. rub.

— W Berdyczowie utworzyło się Towarzystwo fabryki maszyn „Progres,” w celu nabycia, utrzymania i rozszerzenia znajdującej się w Berdyczowie fabryki różnych maszyn i narzędzi, należącej do L. Płacheckiego i I. Doberskiego, a także w celu prowadzenia handlu wyrobami tej fabryki. Założycielami towarzystwa są: inżynier-technolog N. Barkusow i kupcy: L. Płachecki i I. Doberski. Kapitał towarzystwa wynosi 350.000 r., rozdzielonych na 1.400 akcji po rub. 250 każda. Zarząd towarzystwa w Berdyczowie.

— W Radomiu zbudowano drugą hutę szklaną. Właścicielem jest Albert Rejnstejn.

— Ceny zboża wciąż się podnoszą. Na targu Witkowskiego płacono w ostatnich dniach za pszenicę białą 6 rub. 50 kop., za żyto 4 rub. 10 kop. za korzec. W październiku roku zeszłego płacono przeciętnie za pszenicę wyborową 4.99, za żyto 3.65.

— Dowiadujemy się, że czwarty Zjazd górniczy Królestwa Polskiego odbędzie się w Warszawie 28 listopada (10 grudnia). Według zatwierdzonego już programu, złożonego z 8 punktów, przeważna część obrad będzie poświęcona obmyśleniu sposobów: wzmożenia w Królestwie Polskiem produkcji węgla, żelaza, cyny, ołowiu i wynajdywania nowych ciał kopalnych. Zjazd ma debatować również nad założeniem kasy emerytalnej wspólnej dla wszystkich kopalń i zakładów hutniczych w I i III okręgach górniczych i uzupełnieniem ustawy kas dla chorych w poszczególnych kopalniach. Ma też być mowa o zmianach w systemie nauczania w Dąbrowskiej szkole górniczej.

S. K.

Sprostowanie W Nr. 43 „Głosu,” w artykule: „Pożądane reformy,” w tablicy statystycznej wydrukowano przez omyłkę: „urzędników telegraficznych” zamiast urzędów tel. oraz ogólną przestrzeń Stanów Zjednoczonych podano 10.360 kil. kw. zamiast 10.360.178 kil. kw. W artykule pt. „Z powodu szkiców literackich prof. Tretiaka” w końcowych ustępach na str. 1018 przedstawiono przypiski u dołu.

Treść numeru: W sprawie taryf zbożowych, p. Stanisława Karpińskiego. — Wyprawa Nansena do bieguna północnego (dok.), p. K. Bystrzyckiego — Na przebój I, p. Wł. Jabłonowskiego. — Kronika literacka i artystyczna, p. x i Wł. Bukowińskiego. — Błędy językowe. — Na widowni, p. Jana Weznakiego — Głosy. — Z obcego świata. Ostatnie głosowanie ludowe w Szwajcarii, p. L. W. Niestumnickiego; Przegląd polityczny, p. wł. — Z różnych stron. Kartka z dziejów przemysłu włóciarskiego, p. A. Janiszewskiego; korespondencje: pow. Święciański, Płoskirów; z zagranicy: Kraków, Lwów, Poznań, Racibórz. — Kronika powszechna. — Kronika ekonomiczna. — W odcinku: Zza kulis życia. Sylwetka, p. Marję Napieralską (Simarę). — Odpowiedzi od Redakcji (na okładce).

Redaktor i wydawca Tadeusz Strzembosz.

Дозволено цензурою, Варшава, 18 октября 1896 г. — W drukarni F. Cernaśka, Krakowskie Przedmieście 6.